ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 10(95) • Październik 2013 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Kto kłamie - ten kradnie

Gdy parę lat temu przeprowadzałem wywiad z Przewodniczącym Rady Miejskiej - Romanem Gorzkowskim, opowiedział mi wówczas, jak to jego babcia często powtarzała: kto kłamie – ten kradnie. I ta fraza powraca do mnie jak refren przy okazji mniejszych i większych wydarzeń.

Ktoś zakrzyknie: *Ależ to przesada*! Małe kłamstwo, kłamstewko, takie, którego wręcz nie widać w gąszczu codziennych spraw, a poważne naruszenie relacji międzyludzkich – zaprawdę, przesada.

Ale gdy się głębiej zastanowić, w stwierdzeniu tym jest głęboka prawda, sens wykraczający poza proste skojarzenie. Bo kto w sprawach zwykłych, codziennych nie będzie uczciwy, również w tych ważnych, mających duże znaczenie, będzie miał tendencję do naruszania norm etycznych, a może i prawnych. Bo z czasem granice się przesuwają, zacierają.

Ktoś, kto ma lęk wysokości i każdego dnia wchodzi o jeden szczebel drabiny wyżej, jest na dobrej drodze, by go przezwyciężyć. Tak samo w codziennym życiu, stopniowo uodparniamy się, przekraczamy niewidoczne granice.

Kto kłamie…

Niedawno ktoś przekonywał mnie, że czasem trzeba zawierać kompromisy z ludźmi o wątpliwej proweniencji, aby osiągnąć cel wyższy, szczytniejszy. Czyli czasem trzeba się pobabrać w błocie lub zgoła czymś bardziej ohydnym, żeby później osiągnąć czystość wyższego rzędu.

Nie jestem przekonany. Za to przypomina mi się inny dyskurs prowadzony w latach osiemdziesiątych z moim kolegą w akademiku. Spieraliśmy się wówczas, czy lepszy jest minister - urzędnik - operatywny złodziej, który przy okazji „twórczej” pracy uszczknie sobie co nieco ze społecznych pieniędzy, czy też uczciwy fajtłapa. Zasiał we mnie mój kolega wątpliwość, może nawet zacząłem przyznawać mu rację, że ten złodziej będzie lepszym rozwiązaniem.

Dzisiaj jestem już pewien. Minęło wiele lat, zmieniła się Polska, świat się zmienił, dylemat nadal jest aktualny, ale ja jestem pewien – wolę uczciwego fajtłapę. Bo on nie zepsuje na wiele lat systemu wartości, nie stworzy pewnego relatywizmu moralnego, nie wychowa urzędników - złodziei. Oczywiście lepiej, żeby to nie był fajtłapa, tym bardziej, że uczciwi, przedsiębiorczy ludzie nie należą do wyjątków.

W swoim stanowisku posuwam się wręcz do pewnej formy ortodoksji: przede wszystkim uczciwość. Urzędnik państwowy czy samorządowy ma być uczciwy, uczciwością nie tylko obwarowaną kodeksami cywilnymi, karnymi i postępowania administracyjnego, ale również kodeksem etycznym. Ma postępować przejrzyście, uczciwie i co oczywiste – zgodnie z prawem.

Bo kto kłamie…

Przed ostatnimi wyborami samorządowymi, podczas wywiadu z ówczesnym Wicestarostą Powiatu Złotoryjskiego panem Józefem Sudołem poruszyłem wątek etyki zawodowej. Spieraliśmy się, czy należy twardo egzekwować nieetyczne zachowania podległych pracowników. Ja twierdziłem, że tak, pan Starosta, że może wymagać jedynie przestrzegania prawa. Rozumiem, że trudno byłoby obronić przed sądem pracy np. zwolnienie pracownika za działania nieetyczne. Bo przede wszystkim według jakiego kodeksu etycznego te działania rozpatrywać? Menedżer jednak posiada całą paletę możliwości wpływania na pracownika, wręcz jego wychowywania – wpajania oprócz litery prawa zasad etycznych, choćby dając mu przykład własną osobą.

W lipcu br. Urząd Miejski w Złotoryi zaprosił do składania ofert na wykonanie zadania na opracowanie strony internetowej na potrzeby realizacji projektu „Dom spotkań i integracji społecznej Złotoryi i Pulsnitz”. Najkorzystniejszą ofertę złożył i konkurs wygrał naczelnik jednego z wydziałów Urzędu. Zgodne z prawem? Najprawdopodobniej tak, ale na pewno bardzo nie na miejscu, powiedziałbym wręcz - głęboko nieetyczne.

Parę miesięcy później z kolei Starostwo Powiatowe ogłosiło konkurs ofert do projektu „Nowa jakość systemu doskonalenia nauczycieli w Powiecie Złotoryjskim - pilotażowe wsparcie rozwoju szkół i przedszkoli”. Nie wnikam, czy zainteresowanych złożeniem ofert było mało, czy dużo, czy tylko tylu, ile potrzeba do rozstrzygnięcia konkursu. Niezbyt dobrze to jednak wygląda, gdy beneficjentami zostają najbliżsi członkowie rodzin urzędników zatrudnionych w starostwie lub w jednostkach bezpośrednio podległych.

Jaki sygnał płynie do społeczeństwa, do pozostałych urzędników, do jednostek podległych? Ktoś powie, że nie można dyskryminować kogoś tylko dlatego, że jest czyimś mężem – żoną, córką - synem… I pewnie ma rację. Tylko ta przeklęta granica – gdzież ona jest? Co jeszcze można, a czego już nie? Co jeszcze wypada, a co już nie? Czy jednak nie prościej byłoby unikać takich wątpliwych rozstrzygnięć?

To takie małe ciernie, które bardzo uwierają ludzi wyczulonych (przeczulonych?). Jedni przyzwyczajają się do środowiska, które ich otacza – inni nabawiają się alergii, nawet na drobne przejawy nieetycznych zachowań.

Bo kto kłamie…

Robert Pawłowski

Animatorka

Moje życie to jedna wielka przygoda. Poprzez poznawanie innych uczę się poznawać samą siebie. Przygodą jest praca zawodowa, która stała się namiętnością. Wiodę życie wśród ludzi, otaczają mnie, są ze mną i obok mnie. Czasami wydaje mi się, że żyję dla nich.

Danuta Sosa: Małgosiu, jesteś bardzo aktywna w środowisku lokalnym. Zawojowałaś scenę, prowadzisz uroczystości. Jesteś troskliwa i czuła dla ludzi. Skupiasz się na pracy dla innych. Często uśmiechasz się. Jesteś szczęśliwa?

Małgorzata Semeniuk: Pracowałam nad tym. Nauczył mnie tego dziadek – Bartłomiej Szłapa, góral. Był dla mnie najwspanialszym człowiekiem na ziemi. Był bardzo pracowity i religijny, a doświadczywszy w życiu wiele dobrego i złego – posiadł życiową mądrość, którą dzielił się z innymi. Dla mnie miał zawsze czas, uczył mnie góralskich piosenek, które opowiadały o szacunku dla rodziców, ciężkiej pracy i niedzielnym odpoczynku z rodziną.

Epatujesz tym ciepłem, udało się dziadkowi wychowanie wnuczki. A czy udało Ci się przenieść tę wiedzę na grunt swojej rodziny?

Tak, oczywiście. Chyba mogłabym za dziadkiem powtórzyć: ,,Chodźcie do nas, zobaczycie, jakie tutaj miłe życie”. Wobec moich dzieci stosowałam metody wychowawcze moich rodziców i dziadka. Ale też dzieci stały się moimi nauczycielami. Nauczyłam się od nich dystansu do siebie. Czasami jest to zabawne. Wszystko razem spowodowało, że potrafię być sobą – bez względu na okoliczności. I to jest moja kolejna cenna zdobycz życiowa.

Widzę, że usilnie pracujesz nad sobą, modelujesz i kreujesz. Potrzebujesz przestrzeni do działania i samorealizacji. Gdzie pracujesz i jakie masz zadania?

Pracuję w Gminnym Ośrodku Kultury, Sportu i Rekreacji w Pielgrzymce. Mam bardzo oddanego pracy zwierzchnika. Pan dyrektor wspiera mnie na każdym etapie działania. Akceptuje pomysły i pomaga w realizacji. Dobra atmosfera w pracy uskrzydla mnie i pozwala marzyć – oczywiście o nowych zadaniach. Kiedy tylko puszczam wodze fantazji, napełniam się pomysłami, które potem przekuwam na scenariusz do realizacji. Pomysł, który znajduje poparcie, pozwala mi dobierać ludzi do współpracy. Nie miałam do tej pory z tym problemu. Dokoła jest wielu fantastycznych ludzi, trzeba tylko ich dostrzec i zaprosić do pracy.

Proszę, opowiedz coś o tych realizacjach. Czy zawsze wysiłek owocuje sukcesem?

Poruszam się w sferze, w pewnym sensie, artystycznej. Ocena dokonań będzie subiektywna, uzależniona od wrażliwości i wiedzy odbiorcy. Dla nas - twórców jest zawsze pożytek, bo pracujemy w zespole, uczymy się od siebie i poszerzamy kontakty z ludźmi. Przede wszystkim wspieramy się, co owocuje zacieśnianiem więzi i sympatii. Nic tak ludzi nie łączy, jak ,,gra w jednej drużynie”. Pracuję z ludźmi w różnym wieku, więc staram się dostosowywać do potrzeb każdej grupy. Z gimnazjalistami założyłam Młodzieżowy Kabaret BEKA, dziecięcy teatrzyk GAMAJ, a z dorosłymi Krąg Ludzi z Pasją, organizujemy Dni Seniora. Wszyscy spotykają się na Festiwalu Młodych Talentów i podczas Święta Rodzin.

W wielu imprezach przez Ciebie przygotowanych lub prowadzonych – uczestniczyłam. Wiele z siebie dajesz. Kochają Cię. A Ty, a Twoja miłość?

Moja miłość jest przy mnie, ma na imię Józef. To zauroczenie trwa dwadzieścia pięć lat. Wciąż jesteśmy dla siebie interesujący, atrakcyjni, a przede wszystkim - możemy na siebie liczyć. Kochamy nasze dzieci, a one nas wiążą jeszcze silniej. Dogadujemy się, uwzględniamy potrzeby wszystkich członków rodziny sprawiedliwie. To szczęście rodzinne przepełnia mnie taką radością i spełnieniem, że czasami wydaje mi się, że fruwam.

Pozazdrościć. Jesteś uduchowioną osobą. Kiedy się nie uśmiechasz, zamyślasz się. Gdzie wtedy jesteś?

Często zapadam się gdzieś w przestworzach wyobraźni i mknę, nie wiem dokąd. Kiedy powracam do rzeczywistości, mam nowy pomysł i z grubsza wiem, jak powinna wyglądać jego realizacja. Wszystko dzieje się tak szybko. Stosuję w swoich tekstach i wypowiedziach dużo cytatów. A skoro o tym, to dodam taki jeden: ,,Dobre życie otrzymują ci, którzy się o nie starają. O radość i szczęście trzeba walczyć”. Jestem szczęściarą, dostałam od życia to, co najlepsze. À propos cytatów. Przyswoiłam sobie myśl Marka Twaina, którą wcielam w życie: ,,Jeden komplement wystarcza na dwa miesiące”.

I co, powinnam Cię kolejny raz skomplementować?

Może nie byłoby to złe. Lubię komplementy, kiedy je słyszę, jest mi przyjemnie. Dla równowagi powiem, że pracuję na nie. Pracuję z przyjemnością, ale czasami ciężko i ten komplement bywa jedyną nagrodą. Ja też staram się dostrzegać cudze osiągnięcia i je chwalić. Komplementowanie też jest sztuką samą w sobie, nie można przesadzać, ale szkoda nie dopowiadać. Kwestia proporcji i szczerości.

Dostrzegasz niuanse. No proszę, zaczyna się magia.

To nie magia, to życie.

Przyjrzyjmy się zatem temu życiu. Co z sukcesami?

Są. Zaczęło się od filmu na konkurs. Napisałam scenariusz ,,Profilaktyka, literatura, teatr”. Współpracę podjęła ze mną pedagog Agnieszka Kot. Kabaret BEKA został sfilmowany, następnie zaproszono nas do Młodzieżowego Domu Kultury w Jeleniej Górze. Równocześnie było to wyróżnieniem Zespołu Filmowego SEBASTIAN z Proboszczowa. Codzienność też przynosi dobre chwile i powodzenie, nie tylko konkursy i gale.

Chrzest małej Małgosi. Rodzice oraz dziadek Bartłomiej z dwójką kuzynów.

Potem była kolejna przygoda z filmem?

I tę współpracę miło wspominam. Dawid Rycąbel okazał się cierpliwym i sprawnym filmowcem. Film zrobił niezwykle starannie. Zarejestrował nasze wywiady z mieszkańcami kilku wsi. Film stanowi załącznik do książki „Zatrzymane chwile”, którą pisałam z Wioletą Michalczyk i moim dyrektorem Sebastianem Dębickim. Powstały dwie części. Odbyły się dwie promocje. Zapraszano nas na wyjazdowe prezentacje. Było wiele wzruszających spotkań. Zatrzymaliśmy w kadrze chwile nie do odtworzenia, bo niektórzy już od nas odeszli. Zapisaliśmy nowe karty tej ziemi. To już historia.

Małgorzata Semeniuk w towarzystwie Dawida Rycąbla oraz Wioletty Michalczyk podczas gali ogłoszenia wyników wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2012. Fot. Kajetan Kukla

Była przygoda z radiem…

Tak, tak. Przy współpracy z mieszkańcami Proboszczowa udało się nagrać audycję radiową dla Muzycznego Radia na Szlaku. Czytałam legendy własne i innych autorów.

Społeczność lokalna doceniła Was. Byliście nominowani w wyborach na Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2012.

To było bardzo miłe. Kandydatury trzeba było uzasadnić. Z mojej oceny jestem zadowolona. Cóż, za pracę otrzymuję wynagrodzenie. Choć robię więcej, niż muszę, nie oczekuję hołdów. Bardzo jest mi miło, gdy słyszę pochwały. Jestem usatysfakcjonowana. Może nic straconego, może jeszcze jakieś plebiscyty będą (śmiech).

Jeśli będziesz dalej pracować w tym tempie, to masz wiele szans. Wyróżniasz się jeszcze jedna pasją - piszesz. Do szuflady, czy publikujesz?

Bardzo przeżywam różne wydarzenia i to, co ze mną i koło mnie się dzieje. Potem przychodzi potrzeba opisania tego. Siadam i piszę - prozę, wiersze. Czytałaś i co o nich sądzisz?

Nie jestem znawcą w tej dziedzinie, ale mnie się podobają. Utwory delikatne, refleksyjne. Powinnaś pisać – tak uważam.

Dziękuję. Jeszcze chciałabym skorzystać z okazji, by na łamach ECHA przypomnieć i pozdrowić niezwykłe panie: dyrektorkę Gminnej Biblioteki Publicznej w Pielgrzymce - panią Lucynę Kaczmarzyk – cudowną kobietę, od której wiele się nauczyłam oraz panią Elę Szymczyk z Proboszczowa, która zawsze we mnie wierzyła.

Małgosiu, serdecznie dziękuję za tę rozmowę i bardzo osobiste wynurzenia. Życzę, by każde podjęte wyzwanie pomnażało Twoje sukcesy.

Dziękuję za zainteresowanie moją osobą.

Rozmawiała Danuta Sosa

Zdjęcia z albumu rodzinnego i Danuty Sosy

Kaziu

Pochodzę…

…spode Lwowa, jak mawiał mój ojciec. Jak każdy kresowiak, przez lata przechowywałem w pamięci widok starych kątów, ale dziś, gdy dane mi było odwiedzić rodzinne strony, przyznaję, że wyobraźnia potrafi płatać figle. Zawsze wydawało mi się, że rodzime podwórko to nieogarnięta przestrzeń, teraz nie potrafiłem wyobrazić sobie, jak na tym niewielkim skrawku ziemi mogły zawracać furmanki.

Po wojnie…

…mój ojciec, jako osadnik wojskowy, dostał przydział gospodarstwa w Dobrochowie (w powiecie żarskim). Gospodarstwo było dość ładne i w miarę nowoczesne, jednak były to czasy, w których chłopów usiłowano „dobrowolnie” wcielać do kołchozów, a na tyle dobrodziejstwa ojciec widać przygotowany nie był. Zresztą okolica też była trudna do życia, gdyż znajdowała się w strefie nadgranicznej. Nawet do poruszania się pomiędzy miejscowościami wymagano przepustek. Chcąc stamtąd wyjechać, trzeba było znaleźć sposób. Ojcu widać się udało, bo już przed Bożym Narodzeniem 1949 roku byliśmy w Złotoryi, a ja od półrocza rozpocząłem naukę w czwartej klasie szkoły podstawowej. Mimo że był to okres głębokiego stalinizmu, to nie mam zbyt przykrych wspomnień. Owszem, w każdej klasie obok godła wieszano portrety ukochanych wodzów, ale komu to wówczas przeszkadzało? Kiedy przed 1 maja przez dwa tygodnie nie było lekcji z powodu przygotowań do pochodu, dzieci — jak to dzieci — widziały w tym tylko dobrodziejstwo. Ćwiczenia te dziś też wydają się czymś tak abstrakcyjnym, że niemal niemożliwym. Maszerowano do Jerzmanic i z powrotem, wciąż wznosząc okrzyki: *Stalin! Stalin! Bierut! Bierut! Niech żyją!* Dziś ludzie lubią przyznawać, że byli przeciwni socjalizmowi od zawsze. Ale patrząc z perspektywy czasu nie mogę potwierdzić, że potępienie systemu było powszechne. Ja również nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się za tym wszystkim kryło. Myślę, że wynikało to częściowo z tego, że byłem wówczas dzieckiem, a częściowo z braku wiedzy. Nie mieliśmy radia, przekaz płynący z prasy był jednostronny. Wiedziałem, że starsi słuchali „Wolnej Europy” i „Londynu”, ale nie pamiętam, aby ze mną ktoś się tą wiedzą dzielił. Czasem docierały do nas sensacyjne wieści, że w siedzibie UB (dziś pl. Lotników Polskich) katowano ludzi, ale w tamtych czasach nic z taką wiedzą nie robiono.

Miasto…

…jakie zastałem, kończyło się w zasadzie w okolicach dzisiejszego placu Reymonta. Ale nawet ten rejon bardziej przypominał zabudowę wiejską niż miejską. Tuż za rogiem dzisiejszej ul. Wojska Polskiego znajdowały się gospodarstwa rolne ze sporymi stodołami. W tym miejscu umieszczono też lecznicę dla zwierząt gospodarskich. Na terenach dzisiejszej ulicy Słowackiego znajdował się tartak. Posiadał on komin — niemal taki, jak ten w zakładach obuwia. W pozostałej części tego obszaru usytuowano wysypisko śmieci i gruzu. Ta okolica pozbawiona była tak kanalizacji, jak i instalacji burzowej. Kiedy rozpoczęto prace modernizacyjne, cały teren był po prostu zryty. Ruch odbywał się wyłącznie dołem. Firma, która budowała tę nową Złotoryję wywodziła się z Poznania, a swoją bazę miała przy dzisiejszej ulicy Wilczej. Pamiętam to, gdyż pracował w niej mój kuzyn. Z kolei kiedy odbudowywano Rynek, bazę budowlańców utworzono wokół „lipek”. Niestety, budowa *nowego* często powodowała nieodwracalne straty. Wyburzono między innymi piękne kamieniczki przy dzisiejszych ulicach Konopnickiej i Staromiejskiej. Tę stratę przeżyłem najbardziej, być może dlatego, że stanowiły one moją drogę do szkoły. Kamieniczki te były niezwykłej urody. Parter zajmowały piękne witryny sklepowe, a na piętrze znajdowały się zawsze po trzy okna, no i jeszcze małe okienko na poddaszu. Ten i wiele innych fragmentów miasta wyburzono z uwagi na niewytłumaczalny pęd do nowoczesności. Krajobrazem nie zarządzali architekci, tylko towarzysze partyjni. Uroczo zdobione drewniane witryny sklepowe zastępowano wszechobecnym, siermiężnym, malowanym na szaro kątownikiem stalowym. Wówczas wydawało się to takie postępowe, wprost *amerykańskie*. Niekiedy wyburzanie było nieuniknione z uwagi na stan budowli. Tak stało się chociażby z wypalonymi ruinami, po których biegaliśmy jako dzieci, a na miejscu których zaczęto później budować Dom Kultury. Powstała tam olbrzymia wyrwa, z której furmankami wywożono gruz. Przypuszczam, że chłopi mieli nakaz ich użyczania. Zanim jeszcze zaczęto przebudowę dzisiejszego placu Reymonta; w miejscu gdzie dziś stoi hotel, była karuzela —to tam poznałem swoją przyszłą żonę. Dziś jesteśmy 50 lat po ślubie. Pierwszą posadą, jaką otrzymałem, była praca na stanowisku mechanika w PKS, ale już w 1960 roku przyjęto mnie do urzędu powiatowego. Tu dane mi było przejść przez wszystkie przemiany i podziały administracyjne. Zawsze jednak byłem blisko spraw związanych z komunikacją.

Wydział Komunikacji…

…w którym mnie zatrudniono, podobnie jak finansowy, mieścił się przy ulicy Staszica w budynku dzisiejszego Ośrodka Szkolno–Wychowawczego, wówczas świeżo zwolnionym przez Milicję i UB. Władze powiatu miały w tamtym czasie znacznie większe kompetencje niż miejskie, nieporównanie większe niż dziś. Powiat stanowiły wówczas miasta Złotoryja, Chojnów, Świerzawa, Wojcieszów i oczywiście przyległe wsie. Wydział, w którym podjąłem pracę, zajmował się dość konkretnym zakresem zadań. Były to ewidencja pojazdów, szkolenia kierowców i utrzymanie dróg. Wydział administrował też kamieniołomem w Lubiechowej. Pierwszą bazę remontową mieliśmy przy Podwalu — w miejscu, gdzie dziś znajduje się parking strzeżony. Ale cóż to była za baza? Traktor Ursus C-45 tzw. „Cybuch”, dwie zwykłe przyczepy i przyczepa Madro z umieszczonym pod spodem paleniskiem, do rozgrzewania smoły. Przyczepa ta to nabytek późniejszy, kiedy wiodącą technologią było już smołowanie.

Drogi…

…budowano poprzez tak zwane zagęszczanie żwiru. Może to dziś trudne do wyobrażenia, ale w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych podstawowym budulcem drogowym był właśnie żwir. Rozparcelowany na drodze, polewano wodą i wałowano. Zresztą późniejsze smołowanie to też nie był szczyt marzeń. Do żwiru, który wcześniej zagęszczono, doszła teraz rozpylana przy pomocy lancy smoła. Nawet droga łącząca Złotoryję z Legnicą była *smołówką*. Droga spełniała swą funkcję, ale tylko do lata. Kiedy przyszły upały, smoła wypływała na wierzch i ciągnęła za kołami samochodów, niczym guma arabska. W tamtych czasach drogi były pod stałym nadzorem. Każdego ranka dróżnik obchodził swój odcinek i zasypywał żwirem — usypanym na poboczach — miejsca, gdzie smoła wypłynęła. Przy okazji, warto wyjaśnić, dlaczego w tamtych latach nadal sadzono drzewa przy drogach. Gdyby tego nie robiono, pozbawiono by je cienia, a wówczas popłynęłyby jak rzeki. Z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że nigdy nie mieliśmy dobrych dróg, bo nigdy nie były one budowane od podstaw. Dlatego nasze drogi nie mają właściwej podbudowy. Inwestycje zawsze polegały na kładzeniu kolejnych warstw zewnętrznych, a jakość drogi zależy od tego, na jakim gruncie jest położona.

Kiedy rozwinęła się komunikacja autobusowa, bardzo ważne stały się bieżące naprawy dróg, gdyż w sytuacji gdy PKS odwoływał kursy, wpływały skargi, z których trzeba było się tłumaczyć na specjalnie zwoływanych w tym celu zebraniach partyjnych. Mówiąc wprost, bardziej opłacało się łatać dziury na drogach niż tłumaczyć przed towarzyszami sekretarzami.

Widok z Domu Kultury na przyszły plac Reymonta

Autostrady,…

…która dziś jest wiodącą arterią regionu, początkowo niemal nie używano. Pamiętam, jak pewnego razu ze znajomymi jechaliśmy nią na wycieczkę. Gdy towarzystwo uznało, że pora rozprostować kości, kierowca po prostu zatrzymał samochód na drodze. Przez kilka minut spacerowaliśmy w tę i z powrotem. Przez ten czas na horyzoncie nie dane nam było zobaczyć żadnego pojazdu. Innym razem mój kuzyn jechał tą drogą motocyklem. Niestety, ubrał się za lekko i zmarzł. Wpadł zatem na pomysł, by ogrzać się nieco, kładąc się na rozgrzanym słońcem betonie. Podobnie jak w poprzednim przypadku, nikt mu w tym nie przeszkodził. Kiedyś, gdy podróżowałem w kierunku zachodnim, moją uwagę zwróciła trawa rosnąca w szczelinach pomiędzy betonowymi płytami. Tu i ówdzie dostrzec można było spacerujące dziki i sarny — droga wyglądała na opuszczoną.

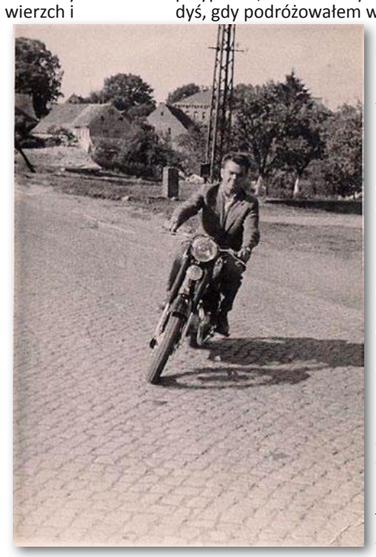

Samochody osobowe…

…widywało się rzadko i było ich niewiele. Wynikało to chyba w głównej mierze z tego, że niemal nie istniało coś takiego, jak samochód prywatny. Owszem — zdarzało się, że ktoś był szczęśliwym posiadaczem przedwojennego „Fiata”, ale samochody te wymagały sporo pracy, a przyjemność, jaką dawały z jazdy, była znikoma. Zdarzało się, że właściciel takiego cacka większość wolnego czasu spędzał zanurzony w komorze silnikowej, a gdy wyjechał poza własne podwórko, to i tak trzeba go było zholować. Poza tym na wszystkie samochody, w tym również osobowe, obowiązywał limit kilometrów. W urzędzie powiatowym były dwie służbowe „Warszawy”, ale raczej nikt z ówczesnych dygnitarzy nie miał prywatnego samochodu. W ogóle w całym powiecie zarejestrowanych było około stu prywatnych pojazdów, a i tak nie wszystkie z nich były „na chodzie”. Warto wiedzieć, że każdy pojazd znajdował się w ewidencji wojskowej z uwagi na swoje znaczenie militarne.

Samochody ciężarowe,…

…a nawet furmanki były obowiązkowo opisane. Opis taki, oprócz nazwy bądź nazwiska, zawierał również adres i przeznaczenie pojazdu. Niełatwo było zarejestrować samochód ciężarowy do celów prywatnych. W ogóle dopuszczało się taką możliwość tylko dla pojazdów o ładowności co najwyżej 1,5 tony, ale nawet wówczas wymagane było potwierdzenie zgłoszenia działalności gospodarczej. Mógł tego dokonać ktoś, kto na przykład wykazał, że jest wozakiem i samochód był mu potrzebny do przewozu mleka. Nawet mimo zarejestrowanej działalności istniało ograniczenie odległości, w jakiej samochody te mogły się poruszać. Limit ten nazywano promieniem poruszania się i na ogół wynosił on 30 kilometrów. Dokumenty, jakie był zobowiązany mieć ze sobą każdy kierujący, zawierały wszystkie tego typu informacje. Na przykład — *promień poruszania się: powiat złotoryjski i przyległe*. Nieco inaczej wyglądała sprawa z samochodami służbowymi, na które istniały tzw. etaty. Dla nich również określano obszar poruszania się, ale był on na ogół większy i oprócz powiatu złotoryjskiego dopuszczano dojazd do Wrocławia. Jeśli zachodziła potrzeba wyjazdu poza ten obszar, urząd wydawał specjalne zezwolenie, określając w nim cel wyjazdu i trasę.

Samochody, jakie można było spotkać na drogach, nie miały dużego tonażu. Przeważały cztero tonowe ciężarówki „Star”, dwuipółtonowe „Lublin”, oraz dostawcze „Żuk” i „Nysa”

Autobusy …

… PKS przez dekady miały monopol na osobowy ruch kołowy. Złotoryjski dworzec autobusowy to jeden z najczęściej wędrujących obiektów. Początkowo umieszczono go przy Placu Wolności (Rynek) przed ówczesną kawiarnią Calypso. Do dziś nie rozumiem, jak niemały przecież Jelcz (tzw. *Ogórek*) był w stanie wykręcić i zniknąć w ul. Solnej. Ale dworzec w Rynku to nie był dobry pomysł. W każdym razie, sytuacja dojrzała do tego, że trzeba było wybudować nowy. Historia miejsca, w którym go dziś kojarzymy, miała jednak różne koleje. Kiedy zapadła decyzja likwidacji gospodarstwa rolnego nieprzystającego do rozbudowującego się miasta, a znajdującego się tam, gdzie dziś znajduje się Orlen — gospodarstwo wyburzono, a na łączce, która w ten sposób powstała, zbudowano poligon dla strażaków, by mieli gdzie ćwiczyć swoje umiejętności. Teren ten pasował na dworzec jak mało który, dlatego jego los był przesądzony. Dworzec powstał w wyniku inwestycji miejskiej, ale zadaszenie, które stało tam wiele lat, zostało stworzone w czynie partyjnym przez ZG *Lena*. Projekt, jak na owe czasy, był odważny. Chociaż ten niezrealizowany był oczywiście o wiele piękniejszy. Zakładał budowę przeszklonego budynku znajdującego się w miejscu dzisiejszego postoju taksówek. Autobusy miały z dwóch stron wjeżdżać w dół na plac. Zresztą, komunikacja zbiorowa to — wbrew pozorom — kula u nogi ówczesnych władz. Tak, rezygnując z rozwoju transportu indywidualnego, musiała zrobić wszystko, aby transport zbiorowy zaspokajał potrzeby ludności. Każda, najmniejsza nawet wioska, miała prawo domagać się dogodnych połączeń. I rzeczywiście — liczba wniosków o nowe lub zmianę istniejących połączeń była olbrzymia. Jedni żądali, aby był dojazd do pracy, inni — do szkoły, a jeszcze inni — do teatru. Koordynacja tych wszystkich próśb była niezwykle trudnym zadaniem, tym bardziej, że w grę wchodziła jeszcze korelacja z pociągami. Rozkłady opracowywało się dla całego regionu w Kudowie Zdroju i nie trwało to nigdy krócej niż tydzień, a trzeba pamiętać, że nie było wtedy komputerów.

Do przewozu pracowników stworzono specjalny rodzaj pojazdu przypominającego autobus, który nie wiadomo dlaczego nazwano *Stonką* — być może z powodu brzydoty. Były to oszklone metalowe budy z bocznym i tylnym wejściem, mieszczące 25 osób. *Stonkami* dowożono górników z miasta i okolicznych wiosek. Miały one specjalnie wyznaczone przystanki. Można zatem powiedzieć, że stanowiły odrębny rodzaj komunikacji.

Taksówki…

…owszem — były, ale nie od razu. Prawdę powiedziawszy, nie pamiętam, kiedy w tej roli zadebiutowały samochody. W każdym razie — gdy rozpoczynałem pracę, w ewidencji urzędu były dwie dorożki, które stały obok Fontanny Kopaczy w Rynku. Od zawsze był problem z umiejscowieniem postoju taksówek. Wciąż go przenoszono, podobnie jak dworzec. Pierwszy postój usytuowano przy placu Reymonta, w miejscu gdzie dziś znajduje się kiosk, potem wędrował — a to na Krasickiego, a to na Klasztorną. Wydawałoby się, że naturalnymi miejscami byłyby plac przed dworcem kolejowym i autobusowym, ale z jakiegoś powodu taksówkarze nie chcieli tam stać. Pamiętam, że w pewnym okresie urząd przymuszał do tego, wydając koncesję z określonym miejscem postoju przed dworcem kolejowym. Zasadnym może się wydawać pytanie, co w takim razie robiły taksówki w centrum miasta? Ale trzeba pamiętać, że kiedyś nie było tylu prywatnych samochodów co dziś, a potrzeby komunikacji nie były wcale mniejsze. Dość wspomnieć, że niektóre instytucje takie jak np. Bank Spółdzielczy nie posiadały własnego samochodu i wynajmowały taksówki dla swoich potrzeb.

Pociągi…

…miały zdecydowanie większe znaczenie niż dziś. W ogóle mam odczucie, że ludzie podróżowali kiedyś częściej. Wystarczy wspomnieć wciąż przepełnione wagony. W pociągach zastosowano coś, co dziś wydaje się niewiarygodne. Do składów dołączano tzw. *Krowiaki.* Wewnątrz takiego wagonu wzdłuż umieszczony był drąg, którego pasażerowie trzymali się podróżując na stojąco. Klientami tych wagonów byli *spadochroniarze*. Tak nazywano ludność wiejską, udającą się na miejskie targowiska w celu sprzedaży swoich produktów. Nazwa wzięła się z powodu białej płachty, która — odpowiednio założona — spełniała rolę plecaka. Miejsca siedzące tym osobom raczej nie sprzyjały.

Niemniej kolej przez długi czas pełniła bardzo ważną funkcję. To pociągami przywożono zaopatrzenie do sklepów, materiały budowlane, żywność, a wywożono ziemiopłody oraz urobek kamieniołomów i kopalni „Lena” i „Nowy Kościół”. W początkowym okresie funkcjonowania „Leny” pociągiem dowożono nawet pracowników.

Dróg, które nie powstały…

…mielibyśmy chyba nie mniej niż tych istniejących. Kiedy budowano kopalnię *Krzeniów* (dzisiejszy PGP Bazalt), ówczesna władza wciąż powtarzała, że będzie to największy kamieniołom w Europie. Po wielu naradach i posiedzeniach zapadła decyzja, aby zelektryfikować linię do Legnicy, chociaż zupełnie poważnie rozważano wariant elektryfikacji linii do Chojnowa, by w ten sposób wykorzystać węzeł w Miłkowicach. Bardzo nierealne wydają się ówczesne szacunki, aby — tak jak mówiono — pociągi z urobkiem, bądź puste w przeciwnym kierunku, miały kursować co kwadrans. Gdyby tak było w istocie, byłby to duży problem, gdyż co 15 minut należałoby zamykać przejazd przy ulicy Kolejowej. Aby ten problem rozwiązać, powstał dość poważnie traktowany projekt przebudowy ulicy Kolejowej. Plan przewidywał powstanie wiaduktu, który zaczynałby się już przy ul. Kościuszki, a kończył przy zbiegu Grunwaldzkiej i Zagrodzieńskiej.

Obecność samochodów w mieście była zawsze uciążliwa, dlatego uporczywie szukano alternatywnej drogi omijającej centrum. Projekt tzw. „małej obwodnicy” był na tyle realny, że rozpoczęto prace zmierzające do jego wdrożenia. Trasa ta miała mieć początek na placu Sprzymierzeńców, następnie przebiegać miała nad rzeką, specjalnie wybudowaną w tym celu

estakadą, by w okolicach dworca kolejowego łączyć się z ulicą 3 Maja.

Niestety, jak wiadomo, obwodnica nie powstała do dziś. Obecnie rozważany projekt „obwodnicy górnej” pomiędzy Kozowem a Sępowem poprzez Kozią i Wilczą Górę nie jest nowy. Na przestrzeni lat miał on swoich zwolenników, ale i przeciwników, którzy dowodzili, że obwodnica odciągnie z miasta turystów. Jednak obwodnica to przez lata był temat medialny. Choć wiadomo było, że do realizacji tego projektu nie dojdzie, napisano w tej sprawie setki pism i stworzono tyleż dokumentów.

Kazimierz Ardelli, urodzony 6 stycznia 1939 r. we wsi Wołczuchy, powiat Gródek Jagielloński. W latach 1960–2000 pracował w Wydziale Komunikacji Urzędu Powiatowego i Miejskiego.

Andrzej Wojciechowski
Zdjęcia z archiwum Kazimierza Ardellego

Nic za darmo

Planowany zakres eksploatacji

Wilcza Góra to symbol Złotoryi, to Gwiazda Polarna na horyzoncie. Nic więc dziwnego, że każdy zamach na jej „życie" wśród mieszkańców ziemi złotoryjskiej wzbudza wielkie emocje.

O tym, jak społeczność lokalna przywiązana jest do tego ogryzka przekonała się firma Colas 7 lat temu, gdy przedstawiła, jak przyznają jej przedstawiciele dzisiaj, niezbyt przemyślany projekt rozebrania bazaltowego komina. Wówczas uzasadniano, i podpisało się pod tym kilku ludzi z różnymi tytułami, że lepiej dla wszystkich będzie rozebrać ten bazaltowy stożek. A gdy złoże się skończy, zrobić geologiczny park rozrywki. Dzisiaj firma Colas już nie chce rozbierać całej góry, lecz jedynie uszczknąć w przybliżeniu 3,200 mln ton bazaltu u jej podnóża, co potrwałoby ok. 8 lat. Potem chce zrekultywować teren i zamiast obecnie planowanej rekultywacji rolno-leśnej, stworzyć park geologiczny z prawdziwego zdarzenia.

Na czym polega rekultywacja rolno-leśna? W dużym przybliżeniu: na wyprowadzeniu wszelakiego złomu z kopalni, tu i ówdzie na przysypaniu paru dziur, nadaniu odpowiedniego spadku osuwiskom, posadzeniu kilku brzóz ewentualnie innych krzaków. Takich rekultywacji w rejonie mamy kilka: Jeziorna, były kamieniołom przy Zagrodzieńskiej, czy wschodnie wyrobiska w Wojcieszowie, czyli mały wkład własny, a reszty niech dokona siła przyrody.

Na dzisiaj objęte koncesją złoża bazaltu na Wilczej Górze skończyły się, więc firma rozpoczęła właśnie proces rekultywacji. Już parę miesięcy temu podniósł się alarm, że na Wilkołaku trwają przygotowania do jego dalszej eksploatacji, jednak kontrola Inspektora Ochrony Środowiska stwierdziła, że tak nie jest.

Czy dalsza eksploatacja zagrozi wulkanicznemu stożkowi?

Firma udowadnia, że nie. Że prace, ich zakres oraz stosowana technologia w żaden sposób nie przyczynią się do dewastacji rezerwatu, a tym bardziej do jego unicestwienia. Mało tego – dzięki nim wyeksponuje się lepiej to, co w rezerwacie jest najcenniejsze: powulkaniczne kamienne struktury. Na poparcie swoich tez przytacza opracowanie sporządzone przez firmę Poltegor. Trójwymiarowa wizualizacja na laiku, jakim jestem, robi wrażenie. Obliczenia mniej, bo na tym po prostu trzeba się znać i dla większości ludzi podane wartości nic nie mówią. Nawet to, że są 3 razy mniejsze od dopuszczalnych. Natomiast zapytany przez nas fachowiec z branży bazaltowej, co ważne – złotoryjanin, emocjonalnie związany z Wilczą Górą, potwierdza, że obecna technologia odstrzału gwarantuje bardzo precyzyjne pozyskiwanie skał, a zadeklarowane wartości rzeczywiście są wielokrotnie niższe od dopuszczalnych, bezpiecznych. Poza tym należy pamiętać, że w czasach, gdy ustanawiano filar ochronny, strzelano komorowo, czyli jednorazowo odpalano nawet 10 ton ładunku, dzisiaj są to wartości wielokrotnie mniejsze, w dodatku poszczególne eksplozje ładunków do 100 kg następują bardzo szybko po sobie i są tak skonfigurowane, że tłumią drgania wywołane przez detonacje poprzedzające. Dodaje też, że nie wyobraża sobie, aby ktoś mógł, niby przypadkiem, doprowadzić do zawalenia stożka wulkanicznego. Pozytywnie należy również ocenić jego zdaniem strefy, które wytyczono, a w których planuje się użycie ładunków kolejno o masach 2000, 1100 i 400 kg. Dodaje przy tym, że człowiek, który podpisał się pod opracowaniem – pan Szymon Majewski jest naprawdę wysokiej klasy specjalistą.

Będąc z Józefem Banaszkiem na wyrobisku, oprowadzani przez kierownika ruchu zakładu górniczego pana Sylwestra Dąbrowę, mogliśmy z bliska przyjrzeć się, co i w jakiej ilości chce się odłupać od Wilczej Góry.

W pierwszej kolejności firma chce wgryźć się w północne złoże bazaltu. To, co budzi wątpliwości, to chęć wyrównania stoku samego wierzchołka po północnej stronie (bliżej miasta) od punktu zaznaczonego na zdjęciu „Planowany zakres eksploatacji" strzałką I. Chodzi o eksploatację złoża w miejscu oznaczonym strzałką II w głąb na kilkadziesiąt metrów. Po tym zabiegu przyjdzie kolej na południowy skrawek złoża, ale już znacznie mniejszy. Na koniec zamierza się pozyskanie bazaltu z dotychczasowych filarów. Obecnie najwyższa półka, ta z której wyrasta sam stożek ma w najwęższym miejscu (licząc od podstawy stożka) ok. 25 -30 m. Firma Colas chce zredukować ją do ok. 5 m, czyli do niezbędnego minimum, gdzie mogą wjechać jeszcze maszyny, a obsypujące się naturalnie kamienie ze ściany, będą się zatrzymywać. W tej chwili w miejscu, do którego miałaby dojść eksploatacja usypany jest wał z kamieni (pierwszy przy stożku). W ten sposób chce się utworzyć kolejne piętra: ok. 5-metrowa półka i ściana ok. 20 m, znowu półka i ściana - aż do dna wyrobiska.

Jak zapewnił nas pan dyrektor Paweł Marek takie obciosanie podstawy góry nie stanowi dla niej zagrożenia. Dodał również, że sam będąc mieszkańcem Sobótki, rozumie troskę mieszkańców ziemi złotoryjskiej o ich górę.

Krzysztof Rozpędowski, prezes stowarzyszenia Dobków - wskazuje, że dopóki firma działa na terenie Wilczej Góry, jedna z najcenniejszych atrakcji geologicznych na Dolnym Śląsku jest martwa dla turystów, a okres, który wskazuje firma - 8 lat eksploatacji plus rok, dwa rekultywacji - na pewno się wydłuży. To spowoduje, że Wilcza Góra zostanie wyprzedzona przez inne atrakcje geologiczne. Sama rewitalizacja zaproponowana przez firmę Colas nie przemawia do niego, uważa, że gmina z wykorzystaniem środków unijnych jest w stanie zrobić to przynajmniej tak samo dobrze.

Krytycznie do projektu odnosi się również Krzysztof Maciejak, złotoryjanin, radny powiatu, geomorfolog, który na łamach portalu 24Legnica.pl wprost nazywa przedstawioną koncepcję cyrkiem Colasa i Poltegoru. Uważa, że w efekcie nie tylko nie zostaną wyeksponowane najbardziej wartościowe formy geologiczne, ale wręcz zostanie ograniczony do nich dostęp.

Podobne wątpliwości, co do dostępności do kamiennego słońca na północno-wschodnim stoku góry, wyraziliśmy podczas naszej wizyty w kopalni, odpowiedziano nam, że nawet gdyby zachować szerokość półki na dotychczasowym poziomie, to takie wycieczki pod ścianę, z której w każdej chwili może się coś urwać, nie należałyby do najbezpieczniejszych, a na pewno nie znalazłby się nikt, kto dopuściłby taką ścieżkę do ruchu turystycznego.

Obawy budzi naruszenie granic obecnego filara ochronnego, o co obawia się prof. Piotr Migoń, czemu wyraz dał w rozmowie z red. Piotrem Kanikowskim na łamach 24Legnica.pl.

Oczywiście najprościej byłoby grzecznie pożegnać się z firmą Colas.

Należy jednak zastanowić się nad rachunkiem zysków i strat. Firma Colas jest międzynarodowym koncernem mocno usadowionym w Polsce. Zajmuje się głównie budową dróg i posiada to, co wielu producentów chciałoby posiadać: wszystkie surowce potrzebne do budowy dróg pozyskuje ze swoich firm. Dlatego jest niezależna, w długim czasie kontroluje swoje koszty, dzięki czemu jest odporna na fiksacje na rynku surowców. Jednym z tych surowców jest bazalt, a jak zapewniają przedstawiciele firmy Colas, złotoryjski jest najlepszy.

Zarośnięte, południowe zbocze Wilkołaka

Można w to wierzyć lub nie, pewnym jest natomiast, że jeżeli będzie możliwość pozyskania surowców jeszcze przez 8 lat, to będzie to na pewno tańsze niż likwidacja zakładu i kupienie nowego.

To jest interes firmy. Interes ma również gmina. Kopalnia to podatki od nieruchomości, podatki od kopalin, udział w podatkach odprowadzanych do państwa, to wreszcie ok. 30 zatrudnionych ludzi z terenu powiatu.

To wreszcie, jak mówi pani wójt, doraźna pomoc firmy na rzecz gminy w postaci materiałów do łatania dróg.

Kopalnia to nie basen, to nawet nie sąsiadująca z Wilczą Górą fabryka Adeo – cicha, niekurząca, nieinwazyjna. Kopalnia, to pył, tiry, hałasujące nocą kruszarki i wreszcie mało eleganckie pozostałości w postaci hałd i dziur.

Cały problem w tym, że tak naprawdę beneficjentem ewentualnych korzyści płynących z turystycznego zagospodarowania Wilczej Góry w przeważającej mierze będzie miasto Złotoryja, natomiast sama góra znajduje się na terenie Gminy Wiejskiej Złotoryja. Trudno będzie przekonać mieszkańców, radnych, władze gminy, żeby wyrzekły się pewnych dochodów przez następne 8 lat, na rzecz trochę niepewnych dochodów, które mogą być w dodatku podzielone pomiędzy obie gminy. Nie wierzę też, by znalazł się ktoś równie zdeterminowany jak pan Kowalski w Leszczynie czy państwo Rozpędowscy w Dobkowie, by wziął na swoje barki inwestycję wielo-, wielomilinową, do której jak bardzo by nie zaangażować środki europejskie, to i tak trzeba dołożyć wkład własny.

Dlatego warto na całą sprawę spojrzeć chłodnym okiem i odpowiedzieć sobie na pytanie: co chcemy uzyskać? Czy chcemy, żeby góra i wyrobisko zarosły tak jak to ma miejsce na Jeziornej, Organach Myśliboskich czy przy Zagrodzieńskiej w Złotoryi? Będziemy mieć wówczas dziką atrakcję turystyczną. Czy może jednak poczekać, dopracować w szczegółach i za parę lat mieć atrakcję z prawdziwego zdarzenia. Niestety dzisiejszy świat jest taki, że coś za coś – nic za darmo.

Życie jest brutalne i opiera się na ekonomii. Czy przychody będą na tyle wysokie, że pokryją ewentualne straty? Pani Wójt wydaje się o tym przekonana. Osobiście, choć jestem trochę sceptyczny, również uważam, że propozycję należy rozważyć, być może trochę się jeszcze potargować. Chociaż przedstawiciele firmy utrzymują, że do sprawy podeszli uczciwie i bardzo transparentnie, prawdopodobnie jednak coś tu jeszcze można ugrać.

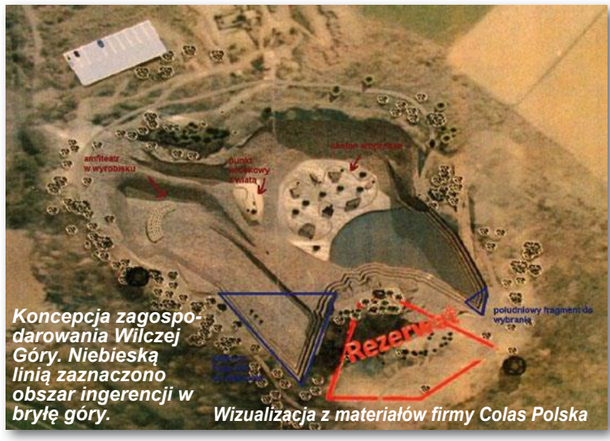

Koncepcja zagospodarowania Wilczej Góry. Niebieską linią zaznaczono obszar ingerencji w bryłę góry.

Wizualizacja z materiałów firmy Colas Polska

Chociażby zagospodarowanie już w tej chwili południowej części Wilczej Góry, stworzenie dogodnego dojścia, oczyszczenie z samosiejek stoku, który był podstawą do stworzenia rezerwatu. Może niewielkim nakładem środków już teraz dałoby się po południowej stronie kopalni oczyścić teren i przygotować go dla turystów, żeby w bezpieczny sposób, choćby z oddali mogli podziwiać bazaltowe formy skalne. Przy okazji można by uspokoić lokalną społeczność, że nic złego nie dzieje się z górą, że zakres prac jest taki, jak przewidziano. Osobiście, docelowo widziałbym na samym szczycie góry platformę widokową, do której można byłoby dojść po wygodnych schodach na zachodnim zboczu. Być może dałoby się skonstruować również platformy, dzięki którym podziwiano by bazaltowe ściany z bliższej odległości.

Można dyskutować, czy proponowany przez firmę Colas ogród geologiczny jest lepszy czy gorszy, czy amfiteatr ma rację bytu, czy też nie, sądzę jednak, że na tym etapie trudno jeszcze mówić o zbyt daleko idących szczegółach. Jak zaznaczają przedstawiciele firmy, jest to pewna koncepcja (ja nazwałbym to kartą przetargową), którą należy dopiero uściślić i jak powiedziała pani Wójt – Maria Leśna – ubrać w odpowiednio zagwarantowaną umowę.

O tym, że tym razem firma podeszła do sprawy bardzo poważnie świadczy chociażby fakt, że na spotkanie pofatygował się sam pan prezes Colas Polska Jean Renaud Roussel, a firma otwarcie mówi o swoich planach z pewnym wyprzedzeniem. Nie uchyla się też od kontaktów z mediami.

O tym jaki będzie ostatecznie los Wilkołaka, zadecydują wkrótce Gmina Wiejska Złotoryja oraz Wojewódzka Inspekcja Ochrony Środowiska, a także kilka innych instytucji sprawujących pieczę nad nad kopalnią.

Robert Pawłowski

Psia turystyka

Czy może być coś przyjemniejszego niż wycieczka krajoznawcza po przepięknych zakątkach ziemi złotoryjsko-jaworskiej ze swoim pupilem? Gorzej, gdy trzeba tę ekspedycję odbyć na czas, w terenie, którego się nie zna, w dodatku po okresie dżdżów. A takie atrakcje przygotowali zawodnikom w coraz bardziej popularnej dyscyplinie pod nazwą dog trekking organizatorzy drugich już w tym roku zawodów Gold-Dogtrekking Złotoryja 2013 państwo Wotowie. Do wyboru były trzy trasy: 10, 20 i 30 km. Patrząc, w jakim stanie ducha wracał czasem z 10-kilometrowej wycieczki mój pies Baciar, byłem pełen podziwu dla zawodników. Ale trening czyni mistrza. Ganiając za psiakami i ich opiekunami z aparatem, miałem okazję porozmawiać sobie na trasie. Dłuższą pogawędkę uciąłem z Tomaszem Trusewiczem z Jeleniej Góry, który wraz z owczarkiem niemieckim o imieniu Grot wybrał dystans 20 km. Odległość jednak trochę urosła, bo pobłądzili, minęli jeden z punktów kontrolnych i musieli się wracać. Jednak na Grocie i jego panu większego wrażenia to nie zrobiło. Ale to wynik niemalże codziennych długich wybiegań. Grot przypomina mi z budowy niektórych złotoryjskich maratończyków: same ścięgna i tylko niezbędne do biegania mięśnie, ale u Grota dodatkowo miłe w dotyku futro.

Trasa była wymagająca. Najpierw szlak wiódł pod Rosochę, później ci, którzy zdecydowali się na dystans dłuższy niż 10 km, musieli udać się przez Stanisławów czerwonym Szlakiem do Bogaczowa. Miejscami błoto, dużo przewyższeń, ale ogólnie trasa ciekawa, obfitująca w wiele miejsc, z których roztaczają się przepiękne widoki nie tylko na Chełmy ale i na Karkonosze.
Jak się okazało, niektórym zawodnikom tak się wycieczka spodobała, że zwiedzili nadprogramowe miejsca gubiąc szlak.

Na szczęście wszyscy zdrowi i cali wrócili na metę w Leszczynie, gdzie czekał na nich posiłek.

A oto wyniki:
Dystans 30 km kobiety: Katarzyna Wernik z psem Gaffar, czas 4:40.
Dystans 30 km mężczyźni: Sebastian Smoleń z psem Kiara, czas 3:38.
Dystans 20 km kobiety: Martyna Piersiak-Kozioł z psem Bosman, czas 4:39.
Dystans 20 km mężczyźni: Tomasz Trusewicz z psem Grot, czas 3:39.
Dystans 10 km: Marcin Robak z psem Juna, czas: 2:05.

Mariusz Wota z satysfakcją podsumowuje: Impreza się rozkręca. Jak określili to uczestnicy - „organizatorzy się rozkręcają i już mamy obawy, co wymyślą na następną edycję". Przy pożegnaniu zawodnicy już pytali o kolejną edycję GDT, najlepiej zimową. Jednak zimowa wersja na razie nie wchodzi w rachubę, pozostaje poczekać do wiosny.

Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w Złotoryi dziękuje Złotoryjskiemu Starostwu Powiatowemu, dzięki któremu impreza się odbyła, jak również partnerowi imprezy - firmie TAURON Dystrybucja S.A.

Robert Pawłowski

Memoriał

I Bieg Uliczny o Memoriał im. Tadeusza Pietroszka

To już był 15. bieg

A niewiele brakowało, i nie byłoby go w ogóle. Tadeusz „odbiegł" od nas 26 czerwca 1998 – stanowczo za wcześnie. Wspomnienie o Nim, na łamach „GZ", kończyłem życzeniem, ażeby „wyrazem serdecznej pamięci o Tadeuszu był coroczny bieg memoriałowy". Za artykułem poszły rozmowy z osobami i instytucjami. Wszyscy byli „za", ale okazało się, że niektórzy byli „za a nawet przeciw". Tylko przedstawiciele jednej organizacji byli jednoznacznie przeciw, co zakomunikowała mi wyraźnie wysoko postawiona osoba: „Żebyś wiedział, że... jest przeciw memoriałowi". Tu sytuacja była więc – przynajmniej – klarowna. Kiedy organizatorzy w trakcie otwarcia stali na schodach wejściowych do ZOKiR-u, ci niechętnie przystanęli również na schodach, ale... hotelowych. W oczekiwaniu, aż się sypnie? Nie sypnęło się; ani otwarcie, ani biegi. Z nami stało m.in. dwóch Olimpijczyków i trzech Mistrzów Polski, co już na wstępie podnosiło rangę Memoriału. Wspominam o tym nie w intencji rozliczenia (i dlatego pominąłem nazwę organizacji), gdyż widząc, co się stało, wszystkie istotne czynniki na II Memoriale, stały już na schodach ZOK-owskich (prawie identycznie przebiegał proces uznania za „prawomyślne": Śpiewy w Rynku, Ośrodek TMZZ, Ścieżka św. Jadwigi).

Czytelnika może irytować, iż tekst jest podawany w pierwszej osobie, ale takie były wówczas (1999) realia. Autor działał prywatnie, jako emerytowany nauczyciel, zawsze w imieniu grupki sprzymierzeńców, a ZM SZS podchodził do problemu na zasadzie życzliwego porozmawiania o sprawie. Jedynie Stefan Rabenda był obok, jasno i jednoznacznie gotowy do działania. Lecz było nas za mało. Toteż, kiedy dobiegał końca rok szkolny 98/99, „zwołałem" kolegów i przyjaciół Tadeusza i jednogłośnie postanowiliśmy, że „robimy". Nie „mieliśmy nic oprócz siebie", żadnego zabezpieczenia finansowego ani materialnego. Precyzyjnie rozdzielone zadania pozwoliły sprostać wyzwaniu. Pomogli liczni sponsorzy, ale finansowy zakres potrzeb zaspokoił głównie dyrektor ówczesnego RPK – Ryszard Pękała. Również, prawdopodobnie wbrew swoim pryncypałom, wsparł nas niebotyczną kwotą dwóch tysięcy złotych. Nam obu zapamiętano tę „ niesubordynację", ale mieliśmy na medale, dyplomy, plakietki, puchary, numery startowe; piekarze nieodpłatnie przekazali pieczywo, zakłady gastronomiczne - grochówkę (głównie „Miła" Andrzeja Kowalskiego).

Ustalając termin I Memoriału (9 X 1999) chcieliśmy się jak najbardziej zbliżyć do Dnia Nauczyciela. Z tej decyzji organizatorzy w następnych latach słusznie się wycofali, gdyż była to jednak pora zbyt późna.

Prawdziwy bat ukręciliśmy na siebie, wytyczając aż 3 rodzaje tras, np. bieg seniorski prowadził na zewnątrz murów obronnych (ul. Staszica, Al. Miła). Miało być, i było, atrakcyjnie, ale nikt z nas nie zdawał sobie wówczas sprawy, w jaką wpadamy pułapkę: trzeba było uzyskać zgodę na zablokowanie dróg aż trzech ich właścicieli. Koszmar ! Dlatego następne memoriały miały już trasę jednorodną.

Do startu zgłosiło się około 1.000 uczestników. Jednak nienajlepsza pogoda zredukowała tę liczbę do ok. 800; nadwyżka grochówki pojechała w termosach do internatu OSW.

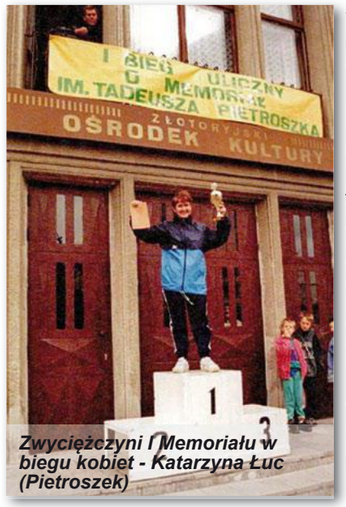

Zwyciężczyni I Memoriału w biegu kobiet - Katarzyna Łuc (Pietroszek)

I Memoriał rozpoczął się odegraniem, przez Jana Bajowskiego, z balkonu ZOKiR, hejnału Złotoryi; także dekoracja zwycięzców odbyła się przy jego dźwiękach. Ten pierwszy Memoriał uroczyście otworzyła wiceburmistrz Bogusława Bobrek. Ale faktycznie I Memoriał rozpoczął się pół godziny wcześniej złożeniem kwiatów i zapaleniem zniczy przez organizatorów i uczestników na grobie Tadeusza. I ten element pozostaje niezmieniony.

Kiedy podsumowywaliśmy I Memoriał uznaliśmy, że imprezę trzeba kontynuować i jednak znaleźć dla niej umocowanie w jakiejś instytucji. Naprzeciw naszym oczekiwaniom wyszedł ówczesny dyrektor OSiR, który (pewnie w dobrej wierze) oświadczył, że „Memoriał powinien być imprezą miejską tzn. znaleźć się w kalendarzu OSiR i zrobi wszystko, ażeby tak się stało". Tak się jednak nie stało. Jak przy I Memoriale – skończyło się na słowach i impreza znalazła się na zakręcie. A wyprowadził ją z niego Andrzej Skowroński, który stając się szefem Gimnazjum nr 1 przejął nad nią patronat. Było to bardzo szczęśliwe rozwiązanie – od II Memoriału A. Skowroński jest szefem komitetu organizacyjnego i dziś z pewnością mógłby z tego zrobić doktorat, tak jak dyr. Zbigniew Gruszczyński ze śpiewów wigilijnych – byłyby to przynajmniej pożyteczne tematy!

W kolejny zakręt Memoriał wszedł w roku 2012, złotoryjskie gimnazja połączono, a Gimnazjum w Złotoryi nie miało obowiązku przejęcia aktywów po G-1.W sukurs przyszło LO i dyr. Barbara Mendocha przyjęła Memoriał w swoje mury, a więc tam, gdzie się idea biegania narodziła. Szefem organizacyjnym memoriału pozostał nadal A. Skowroński, co autor uznaje za rozstrzygnięcie bardzo trafne: koleżeńskie i eleganckie.

Otwartym tekstem chciałbym powiedzieć, że organizowaniem biegów memoriałowych czcimy człowieka oraz wartościową ideę, której Tadeusz był wierny – a miał w tym względzie swoje własne doświadczenia: „Im więcej dzieci na stadionach i w halach, tym mniej ich w niedozwolonych miejscach". W pewnym sensie fanatyk. Trudny i bezkompromisowy partner w rozmowach o projektach dotyczących dzieci. Dlatego za nim szła młodzież i sukcesy; on nie musiał o nich opowiadać – on je miał ! Faktyczny twórca Szkoły Sportowej od strony założeń teoretycznych i organizacyjnych. Tę placówkę, chlubę złotoryjskiego sportu, bez merytorycznych podstaw zlikwidowali „znachorzy sportu" /określenie Tadeusza/ skupieni wokół ówczesnego (po r. 1990) KOiW w Legnicy. Trudne i twarde słowa, lecz prawdziwe. Tadeusz nie był celebrytą, był on człowiekiem czynu.

Wszyscy uczestnicy biegów memoriałowych zasługują na wyróżnienie; łącznie było ich 7978. Wielu z nich było zwycięzcami; liczna grupa – zwycięzcami wielokrotnymi. Chociaż Memoriał ma już zasięg ogólnopolski, miło jest podkreślić, iż w tej ostatniej grupie z siedmioma zwycięstwami bryluje złotoryjanka Anna Ficner; trzy razy zwyciężał Paweł Kaczmar z Olszyny, a dwa razy Tomasz Sobczyk z Opola oraz Maciej Dawidziuk ze Złotoryi; także dwa sukcesy odniosło rodzeństwo Jędrysiaków z SP nr 3. Wprawdzie „tylko" jeden sukces odniosła Blanka Felixowa z Mimonia (Czechy), ale zawsze należała do najbardziej wyrazistych uczestników Memoriału.

Memoriał przez 15 lat nabrał „szlifu"; pojawiły się nowe możliwości finansowania np. z MENiSW i UE. Wymaga to jednak zawsze sporo wysiłku organizacyjnego i koncentracji nie tylko w dniu Memoriału.

Zaangażowane (społecznie) w organizację było bardzo liczne grono, z którego udałosię wyłonić grupę, która organizowała wszystkie dotychczasowe biegi memoriałowe – należą do niej: Katarzyna Łuc (córka Tadeusza), Alfred Michler, Stefan Rabenda („etatowy" sędzia główny), Alina Skowrońska, Andrzej Skowroński oprócz (I Memoriału), Tadeusz Szapował, Zbigniew Wróblewski, ZOKiR z dyr. Zbigniewem Gruszczyńskim. Z radością odnotowujemy zaangażowanie władz samorządowych – powiatowych, miejskich oraz gminnych. Przecież zgoda buduje.

Na trasie XV Memoriału - 2013 r.

Do zobaczenia na trasie XVI Memoriału!

Alfred Michler
w imieniu wszystkich
wieloletnich organizatorów

O wolność słowa

25 września w sali złotoryjskiego sądu odbyła się rozprawa z powództwa PEP Farma Wiatrowa 23 sp. z o.o. (dawniej Solano, a jeszcze wcześniej EPA Wind) przeciwko Jackowi Barciszewskiemu (sołtysowi Wojcieszyna) oraz Andrzejowi Kmicie z art. 212 par. 1 i 216 par. 1 kk. Firma, która zamierza postawić farmę wiatrową na wojcieszyńskich polach, a której zamiar ten torpeduje lokalna społeczność, wytoczyła ciężkie działa oskarżając wyżej wymienionych o to, że „świadomie i bezpodstawnie pomówili i znieśławili Solano, przez co narazili ją na utratę zaufania potrzebnego dla prowadzonej przez nią działalności". Za czyny te oskarżyciel domagał się wymierzenia kary zgodnie z przepisami kodeksu karnego oraz nawiązki na rzecz Gminnego Ośrodka Kultury w Pielgrzymce w kwocie 100 tys. zł. Oskarżyciel nie zgodził się na to, żeby proces był jawny, więc com usłyszał i zobaczył na sali sądowej, milczeć będę jak grób. Natomiast mogę się odnieść do aktu oskarżenia, który udostępnił mi pan Jacek Barciszewski oraz do tego, co powiedział na korytarzu sądowym przed kamerą adwokat oskarżyciela. A robię to tym chętniej, że i „Echo Złotoryi" zostało w tę całą sprawę uwikłane, publikując felieton pana Jacka Barciszewskiego „Demokracja sondażowa" (Echo Złotoryi 5(66)/2011).

Zastanawiam się, gdzie kończy się wolność słowa. Adwokat – pan Jacek Kosiński, reprezentujący oskarżyciela twierdzi, że tam, gdzie zostają naruszone dobra jego klienta poprzez przekroczenie granicy dopuszczalnej krytyki. Pytanie brzmi tylko, gdzie jest ta granica i kto ją wyznacza?

Czytając akt oskarżenia, odnoszę wrażenie, że oskarżycielowi chodzi o zastraszenie lokalnej społeczności, a dzięki ewentualnie wygranemu procesowi uzyskanie bicza na niesfornych działaczy innych społeczności lokalnych, z którymi być może przyjdzie mu się w przyszłości ścierać. Miałby w ręku straszak w postaci wyroku: patrzcie, ci którzy protestowali, którzy przekroczyli pewną granicę – tak skończyli.

Pan Jacek Barciszewski się trochę obruszył, gdy porównałem go do boksera wagi piórkowej, który zmierzył się z bokserem miary Witalija Kliczki. Ale to prawda. Za firmą PEP Farma Wiatrowa 23 sp. z o.o., dawniej Solano a jeszcze wcześniej EPA Wind stoi duży kapitał, stoi sztab prawników, stoją wreszcie wszyscy ci, w których interesie jest, aby inwestycja powstała. Za panem Barciszewskim i Kmitą jest społeczność lokalna, którą łatwo jest poróżnić, może zastraszyć, a może kupić. Siły na pewno nie są równe.

Zastanawiam się, czy na dłuższą metę taka metoda działania opłaci się inwestorowi. Bo powiedzmy sobie szczerze, za 100 tys. złotych pewnie nawet jednego śmigła w turbinie nie zamontuje. Piaru pozytywnego takimi działaniami też się nie zbuduje. Czy ewentualne (podkreślmy to słowo: ewentualne) spacyfikowanie dwóch osób coś da? Czy nie lepiej było na samym początku spytać lokalną społeczność (nie wójta, ale ludzi, mieszkańców wsi, w której chce się posadowić wiatraki) czy chcą tego?

Sąd w Złotoryi większość zarzutów umorzył w skutek przedawnienia, jeden wyłączył do odrębnego rozpoznania. Oskarżyciel prawdopodobnie się odwołał. Równocześnie toczy się sprawa z powództwa cywilnego w sądzie w Legnicy. Tamtejszy sąd wezwał strony do mediacji.

Robert Pawłowski

Kronika

Wrzesień:

• Powiat Złotoryjski oddał do użytku wyremontowany odcinek drogi powiatowej Lubiechowa-Chrośnica na długości 2 km.

• Województwo Dolnośląskie wraz z Ministerstwem Sportu i Turystyki oraz Powiatami: Górowskim, Lwóweckim, Ząbkowickim i Złotoryjskim rozpoczęli pilotażowy program nauki pływania dla dzieci szkół podstawowych.

• W Rokitnicy oddano do użytku pierwszy szkolny obiekt sportowy z prawdziwego zdarzenia – boisko wielofunkcyjne przy miejscowej szkole podstawowej.

06.09. W Skansenie Górniczo-Hutniczym w Leszczynie odbyły się dożynki Gminy Wiejskiej Złotoryja.

07.09. Działkowcy z Rodzinnych Ogrodów Działkowych Lena w Złotoryi obchodzili 50-lecie istnienia swojej wspólnoty i Dzień Działkowca.

11.09. Konsultacje rocznego programu współpracy Gminy Złotoryja z organizacjami pozarządowymi oraz innymi podmiotami prowadzącymi działalność pożytku publicznego na rok 2014.

12.09. Wernisaż prac Anny Janic (studentki Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu) pt. „Poszukiwanie zmysłu natury" w holu Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji.

14.09. VIII Korowód Radości w Wojcieszowie zorganizowany przez Stowarzyszenie Nasz Wojcieszów.

19-20.09. Konferencja inaugurująca projekt p.n. „Nowa jakość doskonalenia nauczycieli w Powiecie Złotoryjskim – pilotażowe wsparcie rozwoju szkół i przedszkoli" współfinansowana ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki.

17.09. Upamiętnienie 74. rocznicy wkroczenia wojsk radzieckich do Polski oraz obchody Dnia Sybiraka.

19.09. Spotkanie z Dorotą Suwalską autorką książek dla dzieci w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi.

19.09. W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi rozpoczął się nowy projekt edukacyjno-animacyjny przeznaczony dla seniorów pn. „Spotkania z pasjami".

20.09. Spotkanie Zarządu Powiatu Złotoryjskiego, Radnych Rady Powiatu, Zarządu Szpitala oraz Związków Zawodowych dotyczące audytu Złotoryjskiego Szpitala przeprowadzonego przez AMG Finanse Sp. z o.o.

20.09. Występ kabaretu „Ani Mru-mru" w sali kinowej Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji.

20.09. Coroczna wrześniowa Akcja Sprzątania Świata - uczniowie złotoryjskich szkół wspierani przez Urząd Miejski, który zakupił 2.200 worków oraz 1.500 sztuk foliowych rękawiczek - ruszyli do uprzątania naszego otoczenia.

21.09. W XI Ogólnopolskim Biegu Ulicznym Służb Mundurowych w Głuchołazach złotoryjska policjantka Anna Ficner zdobyła pierwsze miejsce.

21.09. 400 zawodników dobiegło do mety jubileuszowej 15. edycji Biegu Ulicznego „Memoriał Tadeusza Pietroszka".

21.09. Ostatnia 16 konkurencja jubileuszowej Otwartej Ligi Amatorów Wieloboju Sportowego OLAWS – Ringo rozegrana na boisku sportowym Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi. Laureatem całej edycji został Mirosław Kopiński.

24.09. Teatr LO „Mimo wszystko" wystawia benefis dyr. Aleksandra Pecyny w auli Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Złotoryi.

25.09. Wernisaż rysunków Krzysztofa Borocha (studenta Politechniki Wrocławskiej) w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi.

26.09. Inauguracja V Roku Złotoryjskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji, na której gościła grupa seniorów niemieckich z miasta partnerskiego Pulsnitz.

26.09. Do MBP zawitał teatr Moralitet z Krakowa z przedstawieniem pt. „O panience Miotełce, co sprzątać nie chciała".

26.09. W zawodach o GRAND PRIX Hradec Kralove wzięła udział 4-osobowa reprezentacja AGAT-u.

27.09. Powiatowy Dzień Regionalisty w Pielgrzymce pod honorowym patronatem Starosty Złotoryjskiego organizowany przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. (TMZZ)

28.09. II Gold-Dogtrekking Złotoryja 2013 - zawody w marszu na orientację zorganizowane przez Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w Złotoryi.

30.09. Akcja Honorowego Krwiodawstwa w Wiejskim Domu Kultury w Nowym Kościele zorganizowana przez Klub Sportowy Tatra Krzeniów.

01.10. Giełda pracy dla osób zainteresowanych zatrudnieniem w Niemczech w charakterze „Opiekunki Osób Starszych" zorganizowana przez Agencję Pośrednictwa Pracy InterKadra w Powiatowym Urzędzie Pracy.

02.10. Po dwuletniej przerwie Gazeta Złotoryjska ma redaktora naczelnego – został nim Zbigniew Gruszczyński.

03.10. Na kortach Złotoryjskiego Towarzystwa Tenisowego odbył się jubileuszowy 10. Turniej o Puchar Posła na Sejm RP Ryszarda Zbrzyznego.

04-05.10. W ramach ogólnopolskiego programu Podziel się Posiłkiem odbyła się kolejna, zbiórka żywności w supermarketach Stokrotka i Biedronka w Złotoryi. Organizatorem akcji na terenie naszego miasta była Fundacji "ANIMUS" z Wilkowa Osiedla .

05.10. W okolicach Świerzawy i Wojcieszowa rozegrana została po raz pierwszy Kaczawska Wyrypa, czyli wielogodzinny maraton pieszy i rowerowy na orientację.

05.10. XVI Rajd Jadwiżański zorganizowany przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej pod honorowym patronatem pani Marii Leśnej wójta Gminy Złotoryja. (TMZZ)

05.10. Na Kortach Tenisowych przy ul. Marii Konopnickiej odbył się Turniej z serii „Tenis 10" i „Open" o Puchar Starosty Złotoryjskiego, zorganizowany przez Złotoryjskie Towarzystwo Tenisowe.

05-06.10. W Szklarskiej Porębie odbyły się Mistrzostwa Świata w Nordic Walking, którego organizatorem było Polskie Stowarzyszenie Nordic Walking z siedzibą w Złotoryi.

09.10. Urząd Miejski rozpoczął cykl szkoleń dla mikroprzedsiebiorców, podczas których można dowiedzieć się, jak otrzymać dotację.

09.10. W Zespole Szkół Ogólnokształcących w Złotoryi odbyło się spotkanie pn. „Potrzeby młodzieży w moim powiecie" w ramach projektu: „Młodzieżowy Sejmik Województwa Dolnośląskiego", realizowanego przez Wrocławskie Stowarzyszenie Semper Avanti i Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego.

09.10. Zakończyła się realizacja projektu pn. „Kultura, tradycja i historia" – cykl imprez na 15-lecie współpracy Złotoryi i Mimonia zrealizowanego w ramach Funduszu Mikroprojektów Programu Operacyjnego Współpracy Transgranicznej Republika Czeska-Rzeczpospolita Polska 2007-2013.

10.10. Polskie Radio Wrocław nadało na żywo audycję Akcja Reakcja, której tematem były dalsze losy Wilczej Góry.

10.10. Rozpoczął się drugi sezon Złotoryjskiej Ligi Bilardowej w Loft Bilard Club.

Opracowała Krystyna Zalewska

Plon, niesiemy plon

Jesień to czas podsumowań na działkach. Działkowicze skupieni wokół ROD ,,Obuwnik", przy ul. Asnyka w Złotoryi spotkali się 21 września br. na uroczystym zamknięciu sezonu. Organizacją spotkania kierowała prezes Agnieszka Bartosz-Kupczyk. Na zaproszenie przybyli: w imieniu burmistrza - jego z-ca Andrzej Ostrowski, przedstawicielka Zarządu Okręgu – Bożena Łupkowska oraz przedstawiciele lokalnej prasy. Wysłuchano okolicznościowych przemówień, sprawozdań, które przedstawiły zebranym decyzje jury w kwestii nagradzania działkowiczów.

Zaczęły się wyróżnienia. Na środek wystąpili ***trzydziestoletni działkowicze*** Teresa i Jan Prejsowie, którym wręczono **srebrną** odznakę **„Zasłużony Działkowiec"**. Niemałym, bo ***pięćnastoletnim stażem*** poszczycić się mogą kolejne nagrodzone panie: Bogumiła Lechowicz i Edyta Radoszewska zdobywczynie srebrnej odznaki.

Za całokształt pracy na rzecz działkowiczów podziękowano Jadwidze Chudzikiewicz, Ewie Maciejewskiej, Ludwice Żurawskiej, Mieczysławowi Hanyszowi i Markowi Kowalczykowi.

W kategorii „Najładniejsza działka" przyznano: **I m-ce**: Marii Stenwak, Janinie Tuńczyk, Agnieszce i Stanisławowi Orlakom, Monice Kołodziejskiej, Bogumile i Janowi Kwiatkowskim**. II m-ce**: Krystynie i Jerzemu Dąbrowskim, Krystynie i Szczepanowi Blauciakom, Mariannie i Wiesławowi Kozłowskim, Zofii i Edwardowi Kręcichwostom oraz Marianowi Ziółkowskiemu. **III m-ce** przypadło Bogumile Łysiak, Annie Janowskiej, Grażynie i Stanisławowi Małym, Teresie Frąckowskiej oraz Teresie i Eugeniuszowi Golikom.

Oklaskami nagrodzono hodowców gołębi (Marka Kowalczyka, Stanisława Marciniaka i Ryszarda Grządziela) oraz opiekunki bezdomnych kotów (Krystynę Kosowską i Bogumiłę Kwiatkowską). Podopieczni dostali porcje smakołyków. Szczególne wyrazy wdzięczności kierowano pod adresem dr Danuty Romanowskiej za finansowe wsparcie opieki weterynaryjnej.

Prezes ROD – Agnieszka Bartosz-Kupczyk gratulowała i dziękowała wszystkim działkowcom za trud i prace na rzecz upiększania ogrodów i zachęcała do zdrowego trybu życia i spędzania czasu w gronie rodziny na łonie przyrody.

Miłym akcentem był występ Gabrysi Kołodziejskiej, która wykonała piosenkę o ogrodach. Dziewczynka zaprezentowała się w stroju krakowskim, który na tle kolorowej wystawki plonów wyglądał malowniczo.

Organizatorzy przygotowali „magiczną skrzynię", z której każde obecne dziecko mogło wybrać sobie prezenty.

Potem raczono się smakołykami. Były potrawy ciepłe, kiełbaski z dyżurnego rożna, owoce i ciasta - palce lizać! A kiedy ogród rozświetliło ognisko, przyszedł czas na wspólne śpiewy i

pląsy. Minął kolejny miły dzień.

Tekst i zdjęcia: Danuta Sosa

Ekologiczne domy kultury

Tegoroczny wrzesień był miesiącem obchodów 50-lecia istnienia Złotoryjskich Ogródków Działkowych. Pojawienie się ogródków miejskich na terenie Złotoryi to kontynuacja idei międzywojennej (pierwsze ogródki działkowe w Polsce powstawały po I wojnie światowej), ale jednocześnie liczącej już ponad 200 lat europejskiej strategii wspierania najbiedniejszych

rodzin miejskich. W powojennej rzeczywistości ogródki przydomowe, jak i te powstające na nieużytkach urbanistycznych, były częścią strategii przetrwania w trudnych czasach „wszechdeficytów". Zapewniały jako taką samowystarczalność. Jednocześnie dawnym rolnikom osiedlającym się w mieście dawały namiastkę prywatnej ziemi do samodzielnego zagospodarowania.

Mniej więcej przez trzy powojenne dekady, mały kawałek gruntu (zlokalizowany w centrum lub na obrzeżach miasta) ratował budżet domowy – zasiewany warzywami, obsadzany drzewami i krzewami owocowymi, wysadzany ziemniakami. Angażował całą rodzinę – dyscyplinował, na długie lata kształtował rytm dnia: praca-działka-dom. Estetyka tych miejsc nie była istotna, liczyły się przede wszystkim jak największe zbiory. Całe lata na trasie codziennych ścieżek spotykamy znajomych, będących w drodze „na działkę" lub właśnie wracających „z działki".

Działka determinowała określony styl życia związany zarówno z pracą w ziemi, jak i realizacją popularnej, i w zasadzie koniecznej, idei A. Słodowego - „zrób to sam". Zasada ta odnosiła się do strategii przetrwania w czasach wiecznych niedostatków i drożyzny, tj. samodzielnego wytwarzania i przetwarzania plonów – suszenia, wekowania, ogólnie ujmując - zapełniania domowej spiżarni. Dotyczyła także własnoręcznego budowania altan i schowków, które najczęściej powstawały z materiałów z odzysku, odpadów budowlanych, rzeczy zbędnych w domu. Na działce rzeczy niepotrzebne otrzymywały drugie życie. Ewenementem były szklarnie wykładane poniemieckimi dagerotypami, które zalegały w złotoryjskich zakładach fotograficznych, a ich nowi powojenni właściciele pozbywali się kolekcji, odstępując je ogrodnikom za grosze. Twarze i sylwetki Goldbergerów wypełniały szklarniane ubytki - za dnia urzekały efektem witrażu, a wraz z nastaniem zmroku niepokojąco przypominały dawnych mieszkańców.

Początek lat 90. i impet, z jakim wtargnął do nas kapitalizm i konsumpcjonizm, przyniósł przewartościowanie stosunku do ziemi i jej użytkowej funkcji w krajobrazie miejskim. Dostępność i niska cena większości płodów rolnych, a także zmiana mentalności mieszkańców blokowisk spowodowały, że ta namiastka pola straciła swoją funkcję użytkową na rzecz kształtowania terenów służących wypoczynkowi i realizacji ogrodniczych pasji ukierunkowanych na uprawę roślin ozdobnych. Ci, którzy pozostali przy uprawie warzyw i owoców nie ratują dziś budżetów domowych, a raczej hołdują zasadzie „wiem, co jem", tzn. że świadomie rezygnują ze spożywania plonów z masowych upraw, preferując swoją ekologiczną żywność.

Konsekwencją tych przemian była likwidacja przestrzeni warzywnej na rzecz starannie planowanych rabat, części rekreacyjnej z soczysto zieloną trawą. Realizacja nowej wersji wymagała także rozprawienia się z praktykowaną przez lata partyzantką budowlaną i zdobniczą. Zniknęły wszelkie prowizorki, nieudolne rękodzieło, skorodowane stare wanny, beczki i cysterny na deszczówkę, grille z bębna starej pralki, niechlujne szklarnie. W miejsce zbutwiałych i pokrytych papą altan pojawiły się „castoramowe", pachnące świeżym drewnem i bejcą, gotowce, do których prowadzą wyłożone kostką ścieżki. Nowe domki, przypominające „rokitkowe" bungalowy, zyskują status drugiego domu - tu przyjmuje się gości, spotyka z rodziną, przyprowadza wnuki. Tu i tam powtykane lampy oświetleniowe i solarne, liczne pergole, miniplac zabaw dla dzieci, grill à la kominek. Wzdłuż i wszerz ciągną się linią falistą lub po prostej dekoracyjne ścieżki, a przy nich kołyszą się ozdobne odmiany traw oraz ceramiczne figurki. Gdzieniegdzie parasole, a pod nimi eleganckie stylizowane krzesełka zamiast zużytych potarganych foteli.

Działka zyskała nową wartość – z miejsca kojarzącego się z wysiłkiem, obowiązkiem, niejako przymusem, stała się miejscem majówek, wakacyjnego odpoczynku, „grillowanych" urodzin i niedzielnych obiadów, świętowania awansów zawodowych, a czasami zwyczajnie izolowania się od miejskiego zgiełku. Łączy dwa światy – odświętny i rekreacyjny. Bywa, że zyskuje znaczenie prestiżowe i świadczy o statusie społecznym jej właścicieli, podobnie jak teren zielony przylegający do nowoczesnej willi. Dawniej wyłącznie miejsce czerpania zysków, dzisiaj raczej kosztowne hobby, wymagające nieustannych inwestycji - w nowe sadzonki, nasiona, stelaże, pergole do eksponowania pnących odmian roślin, ozdobne podpórki, słoneczne lampiony, czy choćby narzędzia, nawozy i odżywki. Przyroda spełnia nowe zadanie - rośnie, by cieszyć oczy, zaspokaja potrzebę obcowania z pięknem natury. Pielęgnacja, choć nie mniej wysiłkowa od uprawy warzyw, służy zabawie i zwyczajnie daje radość tym, którzy lubią „grzebać w ziemi". Każdy wiosenno-letni sezon to nowe mody florystyczne, nowe eksperymenty roślinne i kolorystyczne, nowe ogrodnicze wyzwania w postaci kwiatowych wariacji, kolorystycznych układanek. Nieustanne kształtowanie i przekształcanie. U jednych króluje geometria – kilka

warzywno-ziołowych kwater i dywan z trawnika. U innych zachwyca (zamierzony lub nie) chaos i przepych. Minimalizm przeplata się z rozmaitością form i kolorów. Odkryta przestrzeń i dla przeciwwagi - ogrom, w którym gubią się główne ścieżki.

Samozwańczy architekci skrawka własnej przestrzeni czasami prześcigają się w pomysłach, czego przykładem są barokowe formy wprowadzone na działkowe „salony" w postaci *figlów ogrodowych* - krzewów w kształcie spiralek, ptaszków, stożków. Na szczęście nowoczesny działkowy design nie zagraża twórczości, którą określić można jako „infantylizm ogródkowy", który – dzięki zajączkom, sarenkom, jeżykom, leśnym skrzatom – nadaje niektórym ogródkom „estetykę dziecięcego pokoju" (określenie R. Sulimy). Świadczy on o gospodarności, kreatywności, poczuciu humoru, ale przede wszystkim dowodzi, że działkowcy to wprawni recyklerzy.

Miłośników „miejskiej roli" integrują rozmowy o eksperymentach roślinnych, urodzajach owocowych i kwiatowych, jak i wspólne dzielenie zgryzot związanych z suszą, przymrozkami, szkodnikami „podziemnymi" i „naziemnymi". Ponadto działkowiczów łączy więź wynikająca z podobnego stylu życia, stosunku do ziemi i jej owoców, szacunku dla zbiorów (obdarowywanie i wymiana), także pewien rodzaj „zakorzenienia" związany z przekazywaniem tych paru metrów kwadratowych w rodzinie niczym części składowej ojcowizny. To już swoista subkultura, którą interesują się etnografowie, kulturoznawcy, socjologowie, antropologowie, czyniąc ogródki i działkowiczów przedmiotem swych badań.

Jednak działka to nie wyłącznie enklawa spokoju i relaksu. Jak wszędzie, tak i tu pojawiają się spięcia, a nawet poważne konflikty. Bo ziemia, która łączy i wnosi element *sacrum*, źle znosi wszelkie przejawy *profanum*: zakłócanie ciszy, zagarnianie terenu, podkradanie płodów. Konfliktowa natura ludzka i tu daje się we znaki, choć często przyjmuje postać niepotrzebnych sporów sąsiedzkich (o dokarmianie kotów, o zapraszanie ,,obcych", zbyt bliski dojazd samochodem etc.).

Zapewne trawestacja znanego porzekadła „Powiedz mi, co sadzisz, a powiem ci, kim jesteś" byłaby nadużyciem i psychologiczną hochsztaplerką, to jednak prawdą jest, że stosunek do ziemi i jej płodów w sposób trwały kształtuje osobowość i styl życia człowieka (proekologiczny i prozdrowotny), określa priorytety i życiowe strategie. Miejski ogrodnik, podobnie jak wiejski, żyje bowiem w ścisłym związku z przyrodą. Ponadto ogródki miejskie oprócz funkcji użytkowo-rekreacyjno-ozdobnych, pełnią funkcję terapeutyczną – łączą ludzi samotnych, scalają rodziny wielopokoleniowe, odstresowują znerwicowanych. Jednym pozwalają odpocząć, innym wyładować nadmiar energii i złych emocji.

Przemiana w mentalności ludzi, znajdująca odzwierciedlenie w przestrzeni działkowej, jest wyraźna, ale nie ostateczna. Kryzys gospodarczy, rosnące ceny żywności mogą spowodować powrót do szerszej uprawy warzyw i owoców na własny użytek. Tymczasem ogródek miejski to przestrzeń, na której miesza się czas świąteczny z powszednim, praca z odpoczynkiem, a kultura przenika się z naturą. A te małe zielone płuca w mieście i dookoła miasta wszystkim nam wychodzącą na dobre...

Joanna Sosa-Misiak

Klub Seniora

Moi rozmówcy, z którymi miałam przyjemność się spotkać, mają z pewnością o wiele mniej lat, niż pokazuje to ich metryka urodzenia. Są uśmiechnięci, pogodni i pełni humoru, pomimo tego, że ich też dotykają różnorakie dolegliwości z racji wieku. Nie poddają się jednak upływowi czasu i nie spędzają go przed telewizorem, narzekając na wszystko i wszystkich. Codziennie pokonują drogę do miejsca, które stało się dla nich drugim domem. Tym bardziej, że większość z nich mieszka samotnie, więc spotkania w Klubie Seniora przy ulicy Chrobrego 1, bo o nim jest mowa, są dla nich, jak mówią, kolorowymi chwilami w szarej codzienności.

Klub Seniora jest w strukturze Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, którym kieruje pani Dyrektor **Bożena Durmaj.** W tym samym budynku - w pięknej, zabytkowej wilii mieści się również Środowiskowy Dom Samopomocy. Klubowiczami opiekuje się od 2008 roku pani **Bożena Gmerek**, która organizuje im różnorakie zajęcia. Seniorzy mówią, że jest ich prawdziwą przyjaciółką i opiekunką. Wspiera ją w działaniach pani **Agata Kozajda**. Klub znajdował się poprzednio na ul. Solnej. Uczęszczało do niego około 30 osób. Wtedy zajmowała się nim pani **Elżbieta Stalska**. Pobyt w Klubie jest bezpłatny, płaci się jedynie za obiady.

Kim oni właściwie są? Większość ze stałych

członków to panie, z których każda charakteryzuje się czymś innym. Oto one: **Bronisława Bachór** - piękny głos, aktywna członkini Koła Sybiraków; **Janina Chrapusta** - 21 lat w Klubie, taniec; **Leokadia Gaj** - recytacja, „złota rączka”- szycie; **Olga Kaliciak** - dobra organizatorka, serwuje przepyszne, zdrowotne herbatki; **Wanda Napiórkowska** - pyszne ciasteczka własnego wypieku; **Maria Parkasiewicz** - recytacja, udziela dobrych rad; **Maria Śliwińska** - zawsze piękna i zadbana; **Helena -** recytacja, służy radą, poetka; **Rozalia Zadworna** - z uśmiechem na ustach włącza się do działania; **Anna Zięba** - sprosta wszystkim wymaganiom. W klubie jest tylko czterech panów, ale za to jakich: **Władysław Bednarz** -zawsze miły dla pań, dowcipny; **Ryszard Kropiewski** - gimnastyka, dobra energia, zaopatruje w warzywa i owoce; **Bronisław Pełech** - kolejna „złota rączka”- umie naprawić wszystko; **Jan Węgrzyn –**, taniec, recytacja, aktywny działacz Stowarzyszenia Dzieci Wojny, Związku Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego oraz Związku Emerytów i Rencistów. Panie żartują, że pan Janek Węgrzyn to chciałby jeszcze mieć żonę i folwark

Biorąc pod uwagę jego aktywność, można w to uwierzyć. Trzy spośród wymienionych osób mają ponad 80 lat, a p. Ryszard - 90.

Jak spędzają czas w Klubie? Mają do swojej dyspozycji niedużą salę w suterenie MOPS, z zapleczem kuchennym. Ze stołówki i świetlicy korzystają gościnnie w ŚDS. Na wyposażeniu jest telewizor, sprzęt audiowizualny, w tym radioodtwarzacz otrzymany za zajęcie w dniu 23 maja 2013r. II miejsca w VI Przeglądzie Dorobku Artystycznego Seniorów pod patronatem Burmistrza Miasta Lubania. Prezentowali scenkę kabaretową „Nielicha historia seniora, piosenką biesiadną spisana”, którą sami napisali. Pomieszczenia klubowe są udekorowane pracami seniorów - haftami, rysunkami, fotografiami i dyplomami z różnych konkursów.

Każdemu klubowiczowi organizuje się imieniny, w czasie których jest serwowany, oprócz tortu, ich tajemny eliksir młodości: mieszanka różnorakich ziół. Pije się kawę, czasem z kozim mlekiem i colę. Świetnie się bawią we własnym gronie, ale integrują się także na co dzień z pensjonariuszami Środowiskowego Domu Samopomocy: wspólnie przygotowują smakołyki, spotkania opłatkowe i śniadania wielkanocne, na które są zapraszani Ksiądz Proboszcz, Burmistrz Miasta i Dyrektor MOPS. Przy smacznych, własnoręcznie upieczonych przez seniorów ciastach, śpiewają kolędy, opowiadają o świątecznych zwyczajach.

Przychodzą do Klubu, ponieważ jest w nim wesoło, panuje miła, domowa atmosfera. Ma ona odbicie także w ich prywatnym życiu, ponieważ niejednokrotnie pomagają sobie w trudnych sytuacjach, np. w chorobie. Według słów pani Jasi Chrapusty: „Jeżeli człowiek żyje, to musi coś z siebie dać, podzielić się z innymi, być aktywnym, a nie zamknąć się w czterech ścianach”. Pani Maria Parkasiewicz mówi, że jeżeli jest w klubie, to wie, że żyje. Inaczej wygląda życie, gdy się spędza czas w gronie przyjaznych osób, mających wspólne zainteresowania. Ma się z kim porozmawiać, do kogo uśmiechnąć. Jest ustalony harmonogram zajęć: poniedziałki są manualne, wtorki - kulinarne, środy- zajęcia ruchowe, czwartki - muzykoterapia, piątki - zajęcia stolikowe. Czasem ulega on zmianie; szczególnie, jeśli seniorzy szykują się do kolejnej imprezy ze swoim udziałem.

Klubowicze są znani w mieście, ponieważ bardzo często występują na imprezach organizowanych w ZOKiR. Założyli zespół artystyczny: taneczno- kabaretowy „Kaczawianie”. Scenariusze pisze p. B. Gmerek przy akceptacji pani **Agaty Kozajdy**, a seniorzy zawsze coś od siebie dodają. Sami organizują sobie stroje: projektują i szyją. Wszystko w ramach środków własnych. Występują na scenie, niejednokrotnie w towarzystwie osób młodszych od siebie o kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat. Trzeba przyznać, że wigorem i zapałem do zabawy w niczym im nie ustępują. Są zapraszani do Ośrodka Szkolno-Wychowawczego. Okazją do tego jest coroczny Dzień Seniora. Pani Lucyna Rajczakowska szykuje dla nich wraz z dziećmi prezenty, a Pani od muzyki - Dorota Kosińska przygotowuje koncert dla seniorów. Uczestniczą we wspólnym muzykowaniu z dziećmi, np. grają według nut na dzwoneczkach kolędy. Współpracują także z uczniami i nauczycielami (Bogumiła Bachór) Gimnazjum, SP Nr 1, SP Nr 3, przedszkolami w Złotoryi, ze Stowarzyszeniem Dzieci Wojny, z Kołem Kresowian, z ZNP, Kołem Sybiraków, z ZOKiR, z Biblioteką Miejską, Związkiem Emerytów Rencistów i Inwalidów. Nawiązali współpracę również z Klubem Seniora w Legnicy. Imprezy, w których biorą udział to: Dzień Seniora, Walentynki, Spotkanie 80-latków, Dzień Babci i Dziadka, Dzień Kobiet, Przegląd Szkół im. J. Korczaka, Majówka, Spotkanie z piosenką żołnierską. Od niedawna, raz w miesiącu, chodzą na wieczorki taneczne.

Mają już plany na najbliższe dni. 24 października są zaproszeni do ZOKiR na obchody Dnia Seniora, a 29 - do biblioteki, aby w ramach Poetyckiego Dnia Seniora ćwiczyć umiejętność recytacji. Otrzymali również zaproszenie do Bolesławca na Przegląd Zespołów Artystycznych pod nazwą „Od przedszkola do seniora”. Mamy nadzieję, że zdrowie pozwoli im jeszcze wiele lat cieszyć się aktywnym życiem. Dobrze byłoby, aby inne osoby w ich wieku wzięły z nich przykład i włączyły się do prac Klubu. Moi bohaterowie pokazują przecież, że „Senior potrafi”. Znaleźli swój sposób na radość życia. Narzekają tylko trochę, że mają „pod górkę” do tej radości.

Wioleta Michalczyk

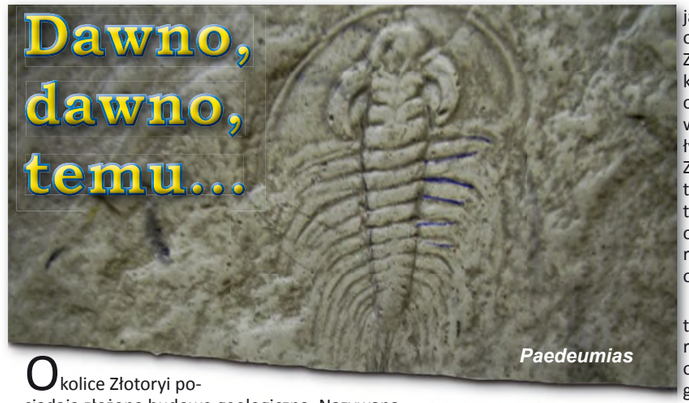

Dawno, dawno, temu...

Paedeumias

Okolice Złotoryi posiadają złożoną budowę geologiczną. Nazywana jest ona mozaikową, ze względu na różnorodność skał i struktur, które są wynikiem licznych procesów, jakie zachodziły tu przez setki milionów lat.

Ellipsocephalus

Najstarsze skały na tym obszarze pochodzą z początku paleozoiku. Są to występujące na południe i zachód od miasta fyllity i łupki, pochodzące z okresów geologicznych zwanych: ordowik i sylur. Zdaniem geologów pierwotnie skały te były osadami ciepłych i płytkich mórz, które istniały w tej części Polski.

Endoceras

Bo musimy wiedzieć, że kilkaset milionów lat temu na obszarze dzisiejszej Polski panował znacznie cieplejszy klimat niż ten obecnie. Przypominał on aktualny klimat basenu Morza Śródziemnego.

Wśród ciepłych wód płytkiego morza tworzyły się

Monograptus

skały osadowe, w których dziś odnajdujemy szczątki zwierząt lub roślin zwane skamieniałościami.

W okolicach Złotoryi możemy odnaleźć szczątki głównie z takich okresów geologicznych jak: kambr, ordowik i sylur. Zwierzętami, które w tych okresach masowo występowały w okolicach Złotoryi były: trylobity, graptolity, archeocjaty, łodziki, ramienionogi oraz amonity.

Trylobity były to zwierzęta reprezentujące okres geologiczny zwany kambrem. Jednym z wielu przedstawicieli tej grupy jest olenus. Były to bardzo małe zwierzątka dochodzące do kilku cm długości. Posiadały długą, szeroką tarczę tułowiową złożoną z licznych segmentów, bardzo małą tarczę ogonową i szeroką tarczę głowową. Pancerz miały szeroki, o prostokątnym zarysie. Kolce policzkowe dość długie, cienkie. Zwierzęta te posiadały oczy.

Trylobity są tak zwanymi skamieniałościami przewodnimi. Skamieniałość przewodnia charakteryzuje się tym, że przedstawiciele danej grupy żyli bardzo krótko, ale na bardzo dużym obszarze geograficznym. Przykładem takich skamieniałości są trylobity, graptolity, amonity.

Innymi przedstawicielami epoki kambru były archeocjaty. Jest to grupa kopalnych bezkręgowców, które występowały licznie na dnie mórz, w strefie przybrzeżnej. Cechowały się w budowie podobieństwem do gąbek lub do jamochłonów, posiadały mały wapienny szkielet, nieco podobny do szkieletu koralowców, o podwójnych, perforowanych ściankach, w kształcie wydłużonego stożka, o długości 2,5-15 cm. Ich szczątki można znaleźć w okolicach Złotoryi głównie w osadach wapiennych. W 2007 roku ich przedstawicieli odnaleziono w wapieniach w okolicach Wojcieszowa.

W kolejnych okresach geologicznych zwanych przez naukowców *ordowik i sylur* masowo występowały ramienionogi oraz ślimaki. Do najpopularniejszych zaliczono: ramienionoga Platystrophia, który należał do tzw. ramienionogów zawiasowych. Wytwarzają one zawsze muszlę wapienną z zawiasem i szkieletem ramion. Tylne krawędzie skorupek tworzą brzeg zawiasowy, który u prymitywniejszych form jest wydłużony i prosty. U form późniejszych zostaje skrócony i wygięty. W miejscu styku skorupek połączonych zawiasem, występuje w skorupce nóżkowej trójkątny otwór, przez naukowców określany jako deltyrium. Same zaś ramienionogi są osiadłymi, dennymi filtratorami. Ich ciało składa się z części miękkiej, otoczonej dwiema skorupkami: brzuszną i grzbietową. Zwierzęta te przymocowują się do podłoża za pomocą umieszczonej w tylnej części ciała nogi lub – w przypadku niektórych gatunków, pozbawionych tej części ciała – przy pomocy brzusznej skorupki. Za sterowanie skorupkami odpowiedzialny jest złożony system mięśni. System mięśniowy szczególnie rozbudowany jest w przedniej części ciała, gdzie służy również do poruszania otaczającymi otwór gębowy czułkami.

Innym popularnym w tych okresach zwierzęciem był endoceras czyli łodzik. Posiadał muszlę prostą o długości do 3,5 m, syfon położony brzeżnie, gruby. Były to zwierzęta drapieżne, nektoniczne, polujące na trylobity i ramienionogi morskie, żyjące w strefie przydennej do głębokości 450 m.

W ordowiku i sylurze występowały także zwierzęta o nazwie graptolit. Szkielet tych zwierząt zbudowany był z substancji białkowej ułożonej w półpierścieniowate pasemka. Były organizmami planktonicznymi, zasiedlającymi górne partie otwartych mórz i oceanów i są główną skamieniałością przewodnią przez cały okres swego istnienia.

W pozostałych okresach geologicznych można spotkać oczywiście słynnego amonita. Zaliczany był on do głowonogów. Amonitowate stanowią ważne skamieniałości przewodnie, pozwalające określić wiek skał osadowych, w których są spotykane. Występują w skałach pochodzenia morskiego. Przodkami amonitowatych były łodzikowate. Amonitowate były mięsożercami, odżywiającymi się wszystkimi wolno poruszającymi się bezkręgowcami, w tym także innymi amonitowatymi. One same padały zaś ofiarami wielkich morskich gadów, głównie pliozaurów i ichtiozaurów. Żyły wyłącznie w morzach, w większości w wodach otwartych. Zdecydowana większość amonitów wyginęła w czasie wielkiego wymierania, które miało miejsce na granicy dwóch okresów geologicznych: kredy i paleogenu, w wyniku katastrofalnych zmian środowiska wywołanych przypuszczalnie upadkiem meteorytu.

Od góry: Gastrioceras, Pericyclus, Platystrophia

Artykuł ten to tylko mizerna próba przybliżenia czytelnikowi gatunków zwierząt, jakie mieszkały na terenach Złotoryi i okolic na długo przed pojawieniem się człowieka. Oczywiście opisane są tylko nieliczne z nich i to niezbyt dokładnie. Gdybym chciała opisać je wszystkie i z każdego okresu geologicznego, powstałaby całkiem pokaźnych rozmiarów publikacja. Jednak jak dotąd nie odnaleziono na naszych terenach żadnych szczątków gadów kopalnych czyli dinozaurów, ale kto wie, może wszystko przed nami?

Anna Woźniak

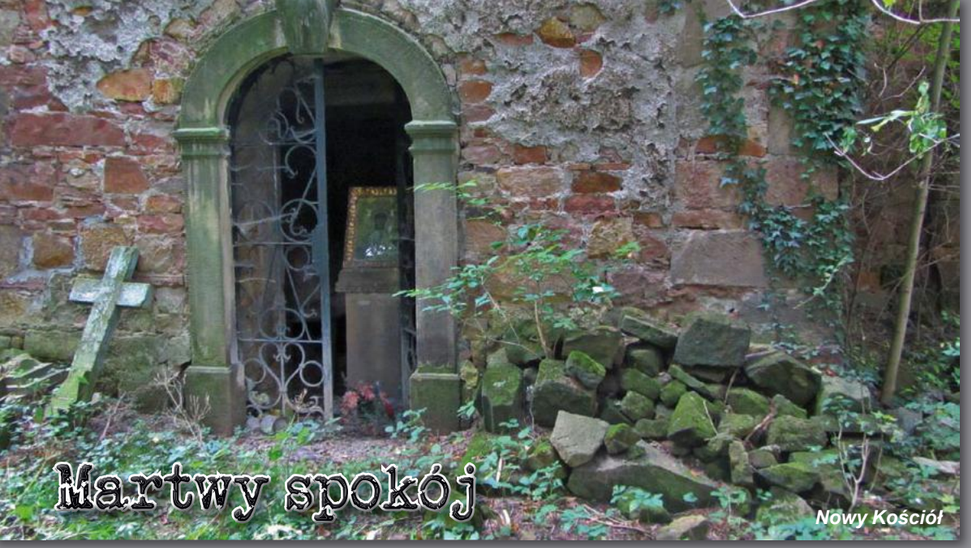

Niedługo znów nastąpi dzień, który poświęcimy naszym zmarłym. Tego dnia niektórzy pokonają dziesiątki kilometrów, by na różnych cmentarzach zapalić światełko pamięci swoim bliskim, znajomym, przyjaciołom. Mogiły obficie udekorujemy kwiatami, tworząc efekt, który od lat przyciąga zagranicznych turystów. W powietrzu wyczujemy delikatnie drażniący swąd dymu i wosku, delikatnie, bo to już nie te same skwierczące i duszące znicze, co w latach PRL-u.

Tego dnia cmentarze odwiedzać będą nawet ci, którzy nie dotrą do miejscowości, gdzie pochowani są ich bliscy lub którzy nie mają jeszcze kogo wizytować na cmentarzach. A mimo to już wiem, że nie wszędzie obecność odwiedzających będzie tak liczna.

Nowy Kościół

Nowy Kościół...

Spacer po cmentarzu to obcowanie z przeszłością, lekcja historii, spotkania z ludźmi niezastąpionymi w swoich rodzinach, a czasem i społecznościach lokalnych. To także spotkania przy miejscu pochówku – z ludźmi zapomnianymi, nieznanymi, za którymi czasami kryją się naprawdę niezwykłe życiorysy, o których nigdy się nie dowiemy. Zwłaszcza, gdy życiorysy te są „nie nasze", „zalegają" na zastanej przestrzeni, obojętnej nam lub nawet niechcianej.

Taką niechcianą przestrzenią wydaje się być większość poniemieckich cmentarzy usytuowanych na ziemi złotoryjskiej. To właśnie tu najbardziej uwidacznia się niemiecka gorycz nieobecności. Wieloletnie zapomnienie... Nad tymi miejscami unosi się dziwny nastrój, Weltschmerz – romantyczny pesymizm i melancholia, poczucie bezcelowości życia i można dodać – całkowitego zapomnienia.

Do tych zapomnianych miejsc prowadzą wydeptane ścieżki, które za murami stają się królestwem samosiejek. Stare butwiejące drzewa nikną w gęstwinie rozhulanych krzewów. Taki widok zastałam na cmentarzu przylegającym do ewangelickiej świątyni w Nowym Kościele. Natura całkowicie zdominowała to miejsce – porosła ruiny starego kościoła, jedne mogiły ukryła, inne naruszyła swoimi korzeniami.

Miejsce okaleczone na dwa sposoby – zapomniane przez dawnych właścicieli, obojętne obecnym mieszkańcom. Ta obojętność właśnie odciska się dzisiaj widocznym piętnem, nie widać ludzkiej ręki, która próbowałaby ujarzmić tę dzikość. Od lat nie widać także zainteresowania mogiłami poprzednich mieszkańców wsi – usunęli się całkowicie, odsunęli od siebie odpowiedzialność za utrzymanie porządku w miejscach, które tak nielicznie ocalały. Tylko żal za utraconą ojcowizną nie zmalał. Nie zrodziła się w niemieckim narodzie inicjatywa podobna do naszej wieloletniej akcji „Ocal mogiłę pradziada", mobilizującej młodzież do wyjazdów na Kresy dla porządkowania polskich cmentarzy. Miejscowa ludność po wojnie wyrządziła tam przez lata wiele nieodwracalnych szkód (rozbite portrety, zerwane inskrypcje), ale od lat największe zmiany powoduje tam, jak i tu, dziko rosnąca przyroda.

Nowy Kościół

Nowy Kościół

Brak ludzkiej ingerencji, wbrew pozorom, wprowadza zmiany – ku chaosowi, przełamywaniu geometryczności i symetrii dominującej kiedyś w przestrzeni cmentarnej - wykreowanej przez kanciaste parcele i poprowadzone między nimi ścieżki. Na poniemieckich cmentarzach możemy zobaczyć, jak natura szybko zagarnia dla siebie wąskie wstążki ścieżek. Nie widać już dróżek, znikają granice kwater, ich miejsce zajmują chwasty. Zdziczały też ogrodowe odmiany róż - zasadzone tutaj dziesiątki lat temu, już tylko gdzieniegdzie wychylające na wiosnę różowe pąki. Promieniom słonecznym niezwykle trudno przedostać się przez ten naturalny mur, jaki zbudowały drzewa, pnąc się wysoko i gęsto wypuszczając konary. „Niemieckość" tego miejsca widać już tylko wzdłuż muru i w rozrzuconych po całym terenie kilku niekompletnych pomnikach. Uwagę zwraca jednak cokół pozbawiony żeliwnego krzyża, z inskrypcjami wyrytymi w kamieniu ze wszystkich czterech stron. Większość nagrobków nosi ślady wandalizmu: uszkodzone krzyże, brak płyt epitafijnych, stłuczone porcelanki, wyrwane metalowe elementy. Zaczął człowiek, dokończył czas i wszędobylskie korzenie.

W polskiej części, tuż przy głównym wejściu maleńkie groby opatrzone polskojęzycznymi tabliczkami – roczniki urodzone i zmarłe w pierwszych latach po wojnie. Dzieci, które szybko „wyprosiły się" z tego nieoswojonego jeszcze polskością świata. Także te, które zginęły przy „zabawie" z niewybuchami w połowie lat 50. W tej części cmentarza uwidacznia się dramat polskich rodzin – po wojennych nieszczęściach utrata dzieci (może kolejnych) musiała niezwykle boleć.

Pod stopami niemal w każdym miejscu czuje się miękkość gruntu, nogi zapadają się w gęsto utkany dywan z płonnych pędów bluszczu. No właśnie, zimozielony bluszcz... gdzie nie spojrzę, wszędzie jest – owija szczelnie stare drzewa, wije się po murze i wylewa kaskadami na spękane epitafia. Pędy miękko wędrują po inskrypcjach, wnikają w najmniejszą szczelinę, przywierają doń niczym czytelnik krótkowzroczny, by powoli, metodycznie zagarnąć nową przestrzeń dla siebie. Przyrastające liście i pędy tulą się do płyt, by potem podstępnie rozłupywać je na części, a zatarłszy napisy pogrążyć w zapomnieniu i wiecznej ciszy. Stare łodygi bluszczu zdrewniały, korzeniami wbiły się w piaskowiec i rozpychają się, uszkadzając mur i murowane komory grobowe. Ten symbol wierności i miłości po grób „czepia się" dosłownie wszystkiego, w swej plątaninie już niemożliwy do usunięcia. Sprawia wrażenie jakby fascynowała go śmierć, a „towarzystwo" zmarłych jemu właśnie dawało siłę do życia. Ogarniam wzrokiem tę dziką przyrodę. Tak jak na nieistniejącym już złotoryjskim poniemieckim cmentarzu jest wyjątkowo symboliczna. Jedynie w kilku miejscach naturalna przyroda złamana plastikowym kwiatem – brudnym i pozbawionym przez czas koloru. Jeszcze nie śmieć, już nie ozdoba.

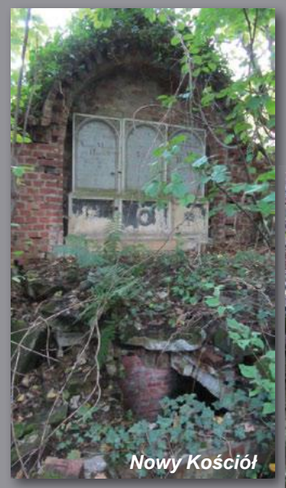
Nowy Kościół

Tuż przy kościele składowisko odpadów, wyrzuconych w powietrze, nieważne gdzie spadnie. Zaschnięte kwiaty w doniczkach, stare plastikowe butelki, a nawet puszki po piwie. Osobliwe miejsce do spożywania alkoholu, jakby kto się prosił o noc z duchami. Elementarny brak przyzwoitości. Odnoszę wrażenie, że przyroda odrabia tu robotę za człowieka, przynajmniej próbuje te brudy zamaskować. Zapewne nie widzę wszystkiego, ale to, co widzę i tak mierzi.

Nad całą przestrzenią czuwa Matka Boska Częstochowska z obrazu, ofiarowanego lata temu społeczności lokalnej przez rodzinę Wężowczyków. Obraz ten, mogiły i dom rodzinny weszły w skład kodu rodzinnego – łączącego przeszłość z teraźniejszością.

Na terenie Nowego Kościoła znajdują się dwie nekropolie poniemieckie. Przez drugi cmentarz prowadzi szeroki pas starej alei prowadzącej do kaplicy. Dawniej korony drzew stykały się, tworząc zielony korytarz. Dzisiaj drzewa robią równie magiczne, choć zarazem przygnębiające, wrażenie. Niektóre spróchniałe i puste w środku – umarły, razem z całym tym miejscem. Kopulaste i niegdyś „migdałowe" tuje dawno zmieniły swoje kształty, zbrązowiały. Tutaj przyroda całkowicie odcięła dostęp do nielicznych i rozmieszczonych na dużej przestrzeni mogił, a raczej ich pojedynczych fragmentów. Odniosłam wrażenie, że ziemia robi przysługę zmarłym i ich miejsca pamięci powoli wciąga w swoje czeluści. Jakby zadecydowała za ludzi: dość już tych upokorzeń!

Nowy Kościół

Groby w całości porośnięte mchem i przechylone, cokoły pozbawione krzyży, większość nagrobków bezimienna z pustymi otworami po wydłubanych porcelankach. Jeśli kiedyś były tutaj anioły, to nie został po nich żaden ślad poza pustymi cokołami. Może zwalone i zamienione w gruz, może potajemnie wywiezione zdobią niemieckie lapidaria, a może stały się łupem bezkarnego „miłośnika" sztuki pałacowo-funeralnej, jakim był złotoryjski ormowiec znany z szabrowania nie tylko pałacowych sztukaterii, którymi dekorował wnętrza swojej prywatnej willi.

Zagrodno...

Zupełnie inny widok zastaję w Zagrodnie. Dookoła klasycystyczno-barokowego kościoła porządek. Flora opanowana, dominują młode sadzonki, rabaty kwiatowe, nie brakuje jednak starych spękanych kasztanowców, których liście złocą się w promieniach słońca. W murze cmentarnym zastaję wiele pustych miejsc po epitafiach, ale wcale niemało zachowanych tablic, upamiętniających ziemską obecność mieszkańców „Lange Grosse" (Długiej Drogi), jak nazywano trasę łączącą wsie położone nad rzeką Skorą – od Modlikowic po Pielgrzymkę. Dobrze zachował się również okazały grobowiec rodziny von Reibnitzów z początku XIX w. oraz dwa kamienne sarkofagi z herbami rodowymi i girlandami. Zwraca uwagę koronkowo-żeliwny krzyż z inskrypcją: *Błogosławiony mąż, który wytrwa w pokusie, gdy bowiem zostanie poddany próbie, otrzyma wieniec życia.* W nienaruszonym stanie zachował się pomnik upamiętniający bohatera wojennego z wojny prusko-francuskiej z 1870 r. z misternie wykutymi liśćmi i owocami dębu.

Niewątpliwą perłą miejscowości jest kościół, którego początki (jak i przylegającego do niego cmentarza) sięgają XIV w., a po pożarze na nowo zaprojektowanego przez znanego w Niemczech, ale pochodzącego z Kamiennej Góry, architekta Carla Gottharda Lanhausa – projektanta pałacu rodziny von Rotkirch w Czerwonym Kościele, wielu innych na terenie całego Dolnego Śląska i chyba najbardziej znanej w jego dorobku Bramy Brandenburskiej w Berlinie. Kościół w Zagrodnie i Brama Pokoju powstały niemal w tym samym czasie.

Święto obchodzone 1 listopada „wzywa" do zastanowienia się nad sensem życia, tego, co po nim, ale przede wszystkim obchodzone jest z myślą o zmarłych „braciach i siostrach". Żywi ofiarowują swoje modlitwy „wiecznego odpoczywania" duszom, a te przyjmowane są z wdzięcznością. Zmarli sami sobie nie mogą pomóc, ale nasze modlitwy za nich sprawiają, że ich wstawiennictwo za nas staje się skuteczne. Wstawiają się za nami, przywołując swoje zasługi zdobywane na ziemi. Na zasadzie wzajemnej przysługi od 835 r., za sprawą papieża Jana XI pierwszego dnia listopada modlimy się za zmarłych świętych, natomiast od 998 r. kolejny dzień poświęcamy nabożeństwom i modłom w intencji wszystkich zmarłych, zwłaszcza tych, którzy odbywają długą drogę pokuty w czyśćcu. Z całego bogatego ludowo-religijnego obrzędu zaduszkowego, obowiązującego jeszcze nie tak dawno, ostało się niewiele. Dzisiaj nikt już nie przywołuje duchów, nie wystawia jedzenia na stole z myślą o wizytujących swoje domy zmarłych, ani nie zanosi im jadła i wódki na groby. Nikt też przy drodze nie rozpala ogniska, by wędrujące dusze mogły ogrzać się w jego cieple zanim znów powrócą w zaświaty. Nie roznieca się także ognia zaduszkowego dla ochrony przed upiorami na grobach zmarłych gwałtowną śmiercią, samobójców oraz pochowanych poza murami miasta. Nie ma już „dziadów kościelnych" - pobożnych pielgrzymów, którym przed cmentarzem wręczało się jałmużnę i strawę, polecając jego modlitwie swoich bliskich. Te praktyki zanikły wraz z wiarą w obecność zmarłych na ziemi w dniu ich święta. Zrzucone do kulturowego lamusa ograniczyły nasz udział do wizyt na cmentarzu i modlitw, jadło zastąpiono kwiatami i światełkami.

Zagrodno

Zagrodno

Pierwsze dwa dni listopada to także dni pamięci narodowej, dlatego chętnie zapalamy lampki przy grobach żołnierzy (na cmentarzach i w lasach), na miejscach straceń, mogiłach powstańczych, symbolicznych miejscach pamięci i pod cmentarnymi krzyżami. Czcimy pamięć bohaterów wojennych i ludzi w różny sposób zasłużonych dla Polski. Zgodnie z sentencją *non omnis moriar* - nie wszystek umrę.

Zagrodno

Tekst i zdjęcia:
Joanna Sosa-Misiak

Kobieta na motorze

Kacper Pawłowski: Jak się zaczęła twoja miłość do motorów?

Joanna Jankowska: Dość standardowo. Przez tatę, który pokazał mi, co to jest motocykl, oswoił z dwoma kółkami, a potem nauczył jeździć. Pamiętam jak dziś, gdy pierwszy raz samodzielnie jechałam Motorynką Romet. Miałam 6 lat, gdy tato wożąc mnie na baku nagle zeskoczył i kazał jechać dalej już samej.

Jakie były wrażenia z tej pierwszej jazdy?

Najpierw była panika i strach przed tym, jak mam sobie sama poradzić, jak mam jechać, a co najważniejsze, jak mam się zatrzymać. Tato oczywiście mówił co i w jakiej kolejności mam robić. Potem była ogromna satysfakcja i wołanie o więcej.

Sporty motorowe wydają się być takiemu laikowi jak ja bardziej domeną mężczyzn. Mężczyzna w kasku, ubrany w skórę, poruszający się motorem to dość częsty widok. Dużo jest kobiet w tym hobby? Jak odnajdują się w tym środowisku?

Niestety, wciąż sporo osób uważa, że motoryzacja jest dla mężczyzn. Całkowicie się z tym nie zgadzam, bo dlaczego wszystko, co najciekawsze, miałoby być zarezerwowane tylko dla mężczyzn? Nas, zmotoryzowanych kobietek przybywa. Na co dzień, na ulicy tego może nie widać często, wtedy kobieta ściągająca kask jest zjawiskiem, ale wystarczy pojechać na jakiś zlot i nagle tych babek jest więcej. To nieprawda, że kobiety nie nadają się do uprawiania tego hobby. Całkiem dobrze radzimy sobie z motocyklem, często też potrafimy wykonywać prace serwisowe. Problemy zaczynają się, gdy trzeba na przykład podnieść motocykl czy zmienić opony. Wtedy przydaje się facet.

Czyli sugerujesz, że to jest bardziej sport dla silnych kobiet?

Oj, nie tylko dla silnych, ale na pewno dla ciut upartych i zawziętych. Drobna kobietka, sięgająca czubkami palców do ziemi z odrobiną samozaparcia jest w stanie jeździć tak samo, a nawet i lepiej niż ktoś, komu tej cechy brakuje i każdy upadek tylko go zniechęca. **Dla mnie upadek to chwila zastanowienia, co zrobiłam źle i czas na poprawienie błędu.** Mówię tu aktualnie o jeździe terenowej, zwanej offroadem.

Z pewnością motor daje Ci szansę poznania nowych ludzi, czy miejsc znajdujących się czasem na uboczu. Zawsze wybierasz trasy pod takim kątem, czy jednak jest tak, że równie często wolisz jeździć po świetnych nawierzchniach i osiągać wielkie prędkości?

Czas zachwytu nad sportowymi, szybkimi maszynami już minął. W Polsce nie ma na to dróg, a dla mnie jazda tylko po asfalcie bez możliwości zjazdu w bok jest po prostu nudna. Od tego sezonu zacząłem omijać szybkie, dobre drogi, zacząłem poruszać się po drogach gorszej klasy, a odkąd nabyłam lżejszy motocykl, zacząłem omijać asfalt szerokim łukiem. O wiele bardziej ciekawsze jest poruszanie się drogami polnymi czy leśnymi ścieżkami. Widać o wiele więcej niż z drogi, można odkryć coś ciekawego. Ten sposób przemieszczania jest o wiele dłuższy. Dystans stukilometrowy robi się parę godzin, a nawet cały dzień. Zdarza się, że trzeba przekroczyć rzekę, lub drogę wytyczyć sobie samemu, można utknąć gdzieś w lesie, zakopać się w błocie. Wszystko się może zdarzyć, ale najważniejsza jest satysfakcja z pokonania przeszkód.

Nasze okolice i trasy są ładne? Mogą przyciągnąć, albo czy przyciągają motorowych entuzjastów z dalszych zakątków naszego kraju?

Jak najbardziej. Góry i Pogórze Kaczawskie to jedne z moich ulubionych terenów do jazdy. Mimo, że tu jeżdżę najczęściej, wciąż jest tyle dróg do odkrycia. Szczerze mówiąc już parę osób przyciągnęłam w moje strony i byli zadowoleni, ponieważ mamy wszystko, co każdy offroadowiec lubi. Teren jest urozmaicony, jest i płasko, i górzyście. Jest sporo polnych dróg i szutrów. I najważniejsze, że jest co zwiedzać. Cieszę się, że właśnie tu przypadło mi mieszkać.

Jak reagujesz na tych motocyklistów, którzy notorycznie nie przestrzegają przepisów ruchu drogowego? Nie słyszysz czasem głosów ludzi, którzy niesłusznie utożsamiają twoją pasję z ich wybrykami?

Jak wspomniałam, zniknęłam z publicznych dróg. I nie żałuję. Niestety, nie każdy potrafi się zachowywać na drodze bezpiecznie. Są ludzie, którzy muszą pokazać, na co stać ich maszynę, że wcale nie muszę stać w korkach i usilnie się wtedy przepychają między autami, często wtedy łamiąc przepisy. Niesprawiedliwe jest traktowanie wszystkich motocyklistów jako wariatów. Oczywiście, zdarzają się takie przypadki, ale myślę, że zdecydowana większość motocyklistów stara się przestrzegać przepisów, jeździć bezpiecznie szanując siebie i innych uczestników drogi. Niestety, znam też przypadki, kiedy to kierowca samochodu prowokuje motocyklistę. Od nas wszystkich zależy, jaka będzie panowała atmosfera na drogach.

Jakim sprzętem dysponujesz i jak oceniasz ten sprzęt pod kątem twoich potrzeb?

Obecnie w stajni mam dwa motocykle. Taty Honda Transalp 600V i moja - Yamaha XT600. Zdecydowanie dobrze jest mieć dwa motocykle. Transalp to świetny motocykl do turystyki, idealny na asfalt, dobrze sobie radzi na szutrach, niestety jest to też duży i ciężki sprzęt. Yamaha to jednocylindrowiec. Za asfaltem już nie przepada, za to świetnie sobie radzi poza nim. Jest lżejsza od Transalpa, dlatego to nią jeżdżę w teren. Na dłuższe trasy wybieram Hondę, jest to idealny motocykl do moich asfaltowych potrzeb. Do XT mam małe zastrzeżenia. Powoli robi się za ciężka do jazdy w terenie, co świadczy o tym, że jazda offroadowa mnie wciągnęła i potrzebuję czegoś jeszcze lżejszego.

Czy ze sportami motorowymi wiążesz swoją przyszłość zawodową?

Byłoby to na pewno ciekawe doświadczenie, aczkolwiek nieco trudne do zrealizowania. Obecnie nie mam szczególnych planów, ale chciałabym, aby moje życie cały czas związane było z tą pasją, a podobno - chcieć to móc. Póki co, chcę jeździć, podróżować za pomocą motocykla, zwiedzać świat i spełniać marzenia. Co mi los przyniesie, to się okaże.

Dużo jest w naszym regionie imprez związanych ze sportami motorowymi?

Jest w naszym regionie parę imprez. Przykładowo na Grodźcu odbywa się co roku zlot upamiętniający naszego przyjaciela Iziego, który tragicznie zginął podczas podróży w Tadżykistanie. Ogólnie na całym Dolnym Śląsku tych imprez jest więcej. Są organizowane rajdy motocyklowe np. Rajd Kocich Gór, Rajd Doliną Bobru, czy Paszków Rally. Polegają one na przejechaniu pewnej trasy za pomocą roadbooka – książki, według której musimy się poruszać po trasie. Są też organizowane akcje charytatywne, jak Motoserce czy Motomikołajki.

Czy lokalnie zrzeszasz się w jakichś klubach, albo organizacjach związanych ze sportami motorowymi? A może macie jakąś nieformalną grupę, wewnątrz której wymieniacie się spostrzeżeniami, wspólnie podróżujecie, albo coś organizujecie?

Nie jestem zrzeszona w żadnych oficjalnym klubie. Udzielam się za to na forach motocyklowych, które tworzą ludzie z różnych stron Polski a łączy nas zamiłowanie do tych samych motocykli. Tam wymieniamy się poglądami, umawiamy na przejażdżki, organizujemy mniejsze czy większe spotkania. Ludzie są tam bardzo życzliwi i zawsze chętnie pomogą nawet, gdy dzielą nas setki kilometrów. Czasem jedyna okazja, by spotkać się ze znajomymi, to jest zlot, zjeżdżają się wtedy ludzie z całej Polski, a nawet Europy.

Skąd pomysł organizacji wyprawy dookoła Bałkanów?

W garażu pojawił się Trampek (Honda Transalp), a ja pojawiłam się na forum Transalpa. Całą jesień 2011 spędziłam na czytaniu relacji forumowych kolegów z podróży w różne strony świata. Stwierdziłam, że skoro oni mogli, to ja też chcę. Motocykl już był, idealny do takiego wyjazdu, więc pozostało zarobienie na wyprawę, zakupienie niezbędnego ekwipunku, przygotowanie motocykla i oczywiście siebie. Oraz znalezienie towarzysza. Początkowo myślałam o podróży wzdłuż granic Polski, po dłuższych przemyśleniach wygrały Bałkany, przekonując mnie swoim klimatem.

Jesteś jeszcze młodą dziewczyną. Jak zareagowali twoi rodzice na twój pomysł?

Dość długo nie mogli uwierzyć, że nie żartuję. Gdy już zdali sobie sprawę, że planuję podróż na poważnie, to reakcje i zachowanie rodziców nieco różniły się od siebie. Mama, wiadomo nie zgadzała się na taki wyjazd, wciąż odradzała. Tato - wręcz przeciwnie, pomagał mi w przygotowaniu motocykla.

Mówisz o przygotowaniu motocykla. Co dokładnie trzeba było przygotować?

Podstawowy serwis: wymiana oleju, płynów hamulcowych, synchronizacja i czyszczenie gaźników, regulacja zaworów. Przegląd hamulców, łożysk, linek. Zakup nowych opon i tak można wymieniać. Lepiej zapobiegać niż naprawiać, więc im więcej rzeczy było w motocyklu sprawdzonych, tym większą pewność miałam, że bez problemów dojadę i wrócę. I tak w rzeczywistości było. Nic nie było w stanie mnie zaskoczyć, ponieważ byłam przygotowana na pewne awarie.

Ile kosztuje zorganizowanie takiego wyjazdu? Czy mogłaś liczyć na wsparcie sponsorów?

Jest pewna zasada: Na ile mam funduszy, na tyle zorganizuje wyprawę. Mój wypad na Bałkany był mniej więcej oszacowany kosztowo na dwa tygodnie i 5 tys. km do przejechania. Wyniósł mnie mniej niż zakładałam. Wiedziałam, że nie będę nocowała w hostelach i na campingach, nie będę jadła w restauracjach. Zatem nocleg miałam za darmo, pod gwiazdami, tam gdzie akurat mi się podobało. Wyżywienie również we własnym zakresie. Co ugotowałam, to zjadłam. Zdecydowanie ponad połowa kosztów całego wyjazdu to paliwo. Przygotować motocykl też trzeba, ale tego nie wliczam w koszty wyprawy. Generalnie powiem, że dwutygodniowe wakacje wyniosły mniej taniej niż średniej klasy tygodniowa wycieczka wykupiona w biurze podróży. Jeśli chodzi o sponsorów, to starałam się ich pozyskać. Udało mi się uzyskać od Motokoce.pl sakwy motocyklowe, dzięki którym mogłam się spakować oraz łańcuch do przypinania motocykla, dzięki GpsGuardian.pl moja rodzina i znajomi widzieli, gdzie aktualnie się znajduję, a dzięki HeinGericke.pl nie mokłam w deszczu, ponieważ otrzymałam przeciwdeszczówkę. Miałam również kilku patronów medialnych. Starałam się też otrzymać pomoc od lokalnych firm i przedsiębiorstw, lecz widocznie słabo mi poszło. Być może w przyszłości, gdy będę się wybierać nieco dalej niż Bałkany, postaram się bardziej.

Jakie są Twoje wrażenia z tej wyprawy? Jakieś wydarzenia szczególnie utkwiły Ci w pamięci?

Bardzo pozytywne. Podróżowanie za pomocą motocykla jest świetnym sposobem na zwiedzanie, poznawanie innych kultur i obyczajów. Praktycznie wszędzie byłam ciepło przyjmowana, ludzie byli przesympatyczni i bardzo pomocni. Może jedynie policja w Chorwacji była trochę uprzedzona co do mojego postoju na przystanku i noclegu za przyzwoleniem księdza pod Kościołem. Chorwacja, jak się okazuje, to policyjny kraj, i nocowanie byle gdzie jest nielegalne. Najmilej wspominam dwudniowy pobyt w Medjugorje w Bośni i Hercegowinie. Zawiozłam tam pluszaki do domu dziecka i przypadkowo poznałam Patricka i Nancy Latta. Zaprosili mnie na swój zamek, pokazali Medjugorje. Niesamowici ludzie. Z odwiedzonych państw najbardziej podobała mi się Czarnogóra i Albania. Żałuję, że nie spędziłam tam więcej czasu na zwiedzanie.

O pomyśle z podarowaniem pluszaków słyszałem. Jak ta pomoc została odebrana przez miejscowych? A może dla dzieci to była pamiątka po większej frajdzie, jaką im zapewne sprawiłyście widokiem motorów i możliwością dotknięcia maszyn?

Tyle ciepła, co tam, jeszcze nigdy nie widziałam i nie zaznałam. Mieszkańcy osady byli ogromnie zachwyceni, że przyjechała do nich motocyklistka aż z Polski, by sprawić dzieciom radość. Bardzo się cieszyli i gorąco dziękowali za podarunek. Przytulali się, rzucali na szyję, ściskali dłonie. To było sympatyczne. Później zaprosili mnie na mszę, podczas której również dziękowali za pluszaki, klaskali i serdecznie się uśmiechali. Motocykl był głownie obiektem do pamiątkowych zdjęć, a dzieci były pod wrażeniem, że motocykl jest taki duży a ja taka mała.

O twojej wyprawie informowały zarówno lokalne media jak i gościłaś w programie TVP „Pytanie na śniadanie". Czy po artykułach i emisji odcinka tego programu zgłaszali się do Ciebie ludzie, którzy chcieliby np. pomóc, pogratulować, a może dołączyć do wyprawy?

Zaraz po zejściu z wizji otrzymałam kilka telefonów i wiadomości z gratulacjami, a potem kilka osób pisało do mnie, mieli pytania, co warto zwiedzić, jakim motocyklem jechać, jak się przygotować. Pomagałam również jednej osobie zorganizować podobny wyjazd. Do tej pory, choć od wyprawy minął już ponad rok, a od emisji programu pół roku, zgłaszają się inni pasjonaci z pytaniami. To całkiem miłe uczucie, gdy mogę komuś pomóc, doradzić.

Z pewnością planujesz dalsze dłuższe podróże. Jakie miejsca masz w swoich planach?

Na pewno wschód, jak daleki, to czas pokaże. Marzy mi się Gruzja, Kirgistan, Mongolia. Jest tyle pięknych państw, najchętniej zwiedziłabym wszystkie po kolei.

Na koniec zapytam Cię, co byś doradziła kobietom, które za twoim przykładem chciałyby podjąć się dłuższej wyprawy motocyklowej?

Żeby się nie bały, wsiadły na motocykl i goniły marzenia. A tak na poważnie - to żeby się dobrze przygotowały, dobrały sobie odpowiedni motocykl, który nie będzie zniechęcał swoimi gabarytami. Również, żeby się nie przejmowały niepowodzeniami i dążyły do celu.

Strona internetowa Joanny Jankowskiej: http://moto-globtroterka.blogspot.com/

Kacper Pawłowski

Dwa warkocze

Od wielu pokoleń wszystkie kobiety w mojej rodzinie nosiły długie warkocze. Moja mama i jej starsza siostra miały długie, ciemne i kręcone włosy. Codziennie zaplatały je w grube warkocze. Po ukończeniu 14. roku życia poszły do zakładu fryzjerskiego, gdzie fryzjerka ścięła im włosy. Ich warkocze są przechowywane u mojej babci z wielkim sentymentem do dnia dzisiejszego.

Po lewej warkocz mamy, po prawej - babci

Ja również miałam długie włosy do uroczystości I Komunii Świętej. Miesiąc po tym wydarzeniu obcięłam swój warkocz i zgodnie z rodzinną tradycją zachowałam sobie na pamiątkę. Przez następne lata miałam krótsze włosy. Od dwóch lat znów je zapuszczam, żeby mieć długi warkocz.

Mam nadzieję, że ta tradycja rodzinna będzie utrzymywana przez wiele lat w żeńskiej części mojej rodziny.

Agata Jarosz

Opiekunka

W moim domu rodzinnym jest wiele pamiątkowych zdjęć, które przypominają czasy przedwojenne. Widnieje na nich moja prababcia, babcia, są też zdjęcia moich rodziców z lat 60.

Prawdziwą pamiątką jest obraz przedstawiający Matkę Boską. Wisi on w moim pokoju nad łóżkiem. Gdy patrzę na niego, przypomina mi moją babcię, którą bardzo kochałem. Ten przepiękny obraz dostała w spadku moja mama, gdyż jest on przekazywany w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Zostawał z tą osobą, która opiekowała się rodzicami.

Obraz jest duży, ma wymiary 100 cm na 50 cm, oprawiony jest w piękną, złotą ramę. Na ciemnozielonym tle widnieje wizerunek Matki Boskiej, która lewą dłonią wskazuje przekute, krwawiące serce, zaś w prawej dłoni trzyma białą lilię – symbol niewinności. Z Jej twarzy promienieje spokój, miłość i czułość. Stojąc przed obrazem, obojętnie z której strony, mam wrażenie, że Madonna ,,chodzi" za mną i patrzy na mnie z miłością.

Wizerunek Matki Boskiej, chroniący naszą rodzinę, to najpiękniejsza pamiątka w moim domu. Mam nadzieję, że gdy dorosnę, ten obraz zostanie mi przekazany, a ja go przekażę dalej, by inni mogli go podziwiać, tak jak ja.

Krystian Łasowski

Benefis

24 września w auli Zespołu Szkół Ogólnokształcących zagrał kolejny benefis. Bohaterem tej cyklicznej imprezy teatru „Mimo wszystko” był wicedyrektor Aleksander Pecyna.

Ale od początku: Tuż po godzinie 17.00 w auli: *Cicho, ciemno, muzyka, światło.* Rozbrzmiały nuty walca z *Jeziora łabędziego* Czajkowskiego. Na scenie – pięć krzesełek, na nich – aktorki w pantomimicznej scence o tym, jak uczniowie reagują na wykłady dyrektora Pecyny. Tak puentuje scenkę Hania Owczarek – gospodyni programu. Na tle scenografii, przypominającej szkolną tablicę, za chwilę rozbrzmiewa piosenka Filipinek: *Tą piosenką cię miziamy, dyrektorze*, -śpiewa pięć aktorek muzycznej sceny teatru, a brzmią, jak oryginalny septet.

Tuż po niej – skecze, piosenki, wiersze – słowem: przyzwoity program kabaretowy. Wszystko – z uśmiechem i na luzie. Reżyserka nie odpuściła beneficjentowi. Aleksander Pecyna także „musi” wystąpić – taka tradycja!

Dyrektor śpiewa fragment piosenki zespołu *Dżem* pt. *Wehikuł czasu.*

Po następnych piosenkach teatru – fragment *Modlitwy* T. Nalepy. Otrzymuje gromkie brawa. Widownia wie, że Aleksander jest świetnym tenorem chóru *Bacalarus*, ale w solowym repertuarze niektórzy słyszą go po raz pierwszy.

Następuje najtrudniejszy moment programu: Konkurs, w którym dyrektor ma za zadanie rozpoznać, do którego z nauczycieli należą słowa, zagrane przez aktorki teatru w miniscenkach. Udaje się! Większość odpowiedzi trafia w punkt.

W nagrodę dyrektor otrzymuje wiersz, później – różową kierownicę i piękny bukiet kwiatów od Samorządu Uczniowskiego. Bardzo miłym akcentem koncertu jest kilka słów Barbary Mendochy – dyrektora Zespołu Szkół Ogólnokształcących. W ciepłych słowach zarysowuje historię współpracy z Aleksandrem, podkreślając jego zalety jako nauczyciela i swojej *Prawej Ręki*.

Dyrektor dziękuje teatrowi i licznie przybyłym gościom. Są na widowni i czekają, żeby uściskać, pogratulować: Rodzina Aleksandra, goście ze Starostwa, dyrektorzy zaprzyjaźnionych placówek oświatowych, przyjaciele Aleksandra z TMZZ, z chóru *Bacalarus,* niemal całe Grono Pedagogiczne, Rada Rodziców, rodzice aktorów teatru i tylko garstka uczniów. Szkoda, bo na widowni było jeszcze kilkanaście wolnych miejsc. Za to przybyło kilkoro z absolwentów. (Ale nie znaczy, że widownia świeciła pustkami, nie!).

Jeszcze ogólna fotografia i podziękowania dla teatru „Mimo wszystko”. W koncercie udział wzięli: Anna i Hanna Owczarek, Anna Karst, Kinga Strączek, Aleksandra Sobol (gościnnie – bo już absolwentka), za sterami maszynerii do nagłośnienia – Kamil Wolniczek i w roli inspicjentki oraz w epizodzie aktorskim – Klaudia Dobrowolska. Z offu – Milena i Monika Gordziejewskie. Wcześniej i w czasie koncertu – niemal cała klasa 1c – po raz pierwszy biorąca udział w projekcie teatralnym, odpowiedzialna za reklamę, powitanie gości, dokumentację fotograficzną i filmową.

Wszystkim ewentualne trudy i starania zrekompensował pyszny bankiet: doskonały, wielki tort, owoce i baaardzo smaczne kanapki.

Benefisy w ogólniaku pełnią rolę integracyjną całego środowiska wychowawczego szkoły. Przede wszystkim – uczą szacunku i sposobów wyrażania wdzięczności dla tych, którym w codziennej gonitwie zapominamy powiedzieć: - *dziękuję*.

Iwona Pawłowska

Smaki znad Skory i Kaczawy

Pierogi po rzeszowsku

Ciasto: 1 kg mąki, 2 jaja, pół szklanki gorącej wody, pół szklanki mleka, sól.

Farsz: 1 biała kapusta (po poszatkowaniu ok. 1 kg), 3 spore cebule, 1 kg białego sera, mielony czarny pieprz, sól.

Pokrojoną w kostkę cebulę podsmażam na tłuszczu do zeszklenia. Kapustę drobno szatkuję, duszę w niewielkiej ilości osolonej wody często mieszając. Kiedy zmięknie, studzę, odcedzam i odciskam z nadmiaru płynu. Ser rozgniatam drobno widelcem, mieszam z kapustą i cebulą. Doprawiam do smaku solą i pieprzem, dokładnie mieszam (pieprzu powinno być tyle, aby był w farszu widoczny).

Mąkę przesiewam, wybijam do niej jaja, dolewam wodę wymieszaną z mlekiem. Zagniatam gładkie ciasto – jeśli wychodzi zbyt twarde, dolewam trochę gorącej wody. Dzielę na mniejsze części, wałkuję i wycinam szklanką krążki. Nadziewam farszem, wrzucam do wrzącej wody i gotuję ok. 3 minut od wypłynięcia (nie mogą się rozgotować!). Podaję polane roztopionym smalcem ze skwarkami.

Teresa Matuszewska

Znaszli to miejsce?

Po przerwie wracamy do naszych zagadek fotograficznych. Poprzednia zagadka była chyba zbyt trudna. Czyżby nikt nie rozpoznał przylepionego do Kruczych Skał kształtu?

No cóż, niezniechęcony brakiem odpowiedzi proponuję nowy obrazek. Zagadka dotyczy tajemniczych ruin u podnóża góry. Do niedawna tętniły życiem i z daleka widać było tego oznaki. Dzisiaj są już chyba na stałe opuszczone. Podpowiem tylko, że w jednym z numerów *Echa* opisywaliśmy to miejsce. Kto wie, kto widział, kto zna? Jak nazywa się góra, u stóp której się TO znajduje?

Dla tych, którzy prawidłowo odpowiedzą, przewidziane są nagrody, ich liczba jednak jest ograniczona. Więc kto pierwszy - ten lepszy.

Robert Pawłowski

Dla niego jesteś tylko sierściuchem

Wreszcie pojawiły się grzyby w ilościach, na jakie od dawna czekałeś. A w tym roku czekałeś wyjątkowo długo. Od zawodowców z targowiska wiesz już na pewno, że są. Niemal natychmiast bierzesz urlop. Wstajesz w środku nocy, ale nie masz z tym żadnego problemu, bo i tak nie mogłeś spać. W przedpokoju czeka przygotowany wieczorem twój stary wiklinowy kosz, a w nim wysłużony kozik w drewnianej oprawie. Z szafy wywlekasz wojskowe moro, cenniejsze od najlepszych twoich przyodziewków. Ubrawszy się, wzuwasz solidne buty i okrywasz głowę ulubioną „grzybową” czapką z daszkiem. Jeszcze tylko pajda z żółtym serem, butelka mineralnej, tabliczka czekolady dla pokrzepienia do kieszeni i już wychodzisz, a właściwie wybiegasz z domu. Wrzucasz wszystko pośpiesznie do auta i jeszcze o zmroku ruszasz. Jesteś przecież ponadprzeciętnym grzybiarzem, sprytniejszym i bardziej doświadczonym od milionów innych zwykłych grzybiarzy. Ba! Właściwie to jesteś supergrzybiarzem, który zanim wzejdzie słońce będzie już stał w gotowości między wrzosami na grzybowisku. Ruszasz więc i czujesz przyjemny dreszcz. Ustaliłeś już bowiem wcześniej ponad wszelką wątpliwość, że jest wysyp, a największy tam, na autostradzie, przy drugim, może trzecim moście za Bobrem, z prawej, a może z lewej strony. To przecież wszystko twoje lasy, twoje grzybowiska, twoje miejsca, które eksplorujesz od zawsze.

Ledwie wytrzymujesz pierwsze 10 minut krętej drogi do autostrady, która zdaje się nie mieć końca. Gdy wreszcie docierasz do wjazdu i płynnie włączasz się do ruchu - odczuwasz ulgę. Przed tobą pół godziny prostą po horyzont drogą na zachód. Po kilku pierwszych minutach, kiedy to powoli nabierasz rozpędu, zauważasz całkowity niemal bezruch na przeciwległej nitce - tej od Niemiec. I niemal w tym samym momencie uświadamiasz sobie, że ty zaś podążasz w nieprzerwanym jak okiem sięgnąć wężu pojazdów. Dopada cię dziwne, niepokojące przeczucie. Zjeżdżasz na lewy pas i przyśpieszasz. Wyprzedzasz auto pędzące przed tobą, potem następne i następne... Spoglądasz w prawo i widzisz, że w każdym z wyprzedzanych pojazdów za kierownicą siedzi mężczyzna w moro i z czapką z daszkiem na głowie. I czujesz jeszcze większy niepokój, bo dopada cię natrętna myśl, że mimo, iż wokół setki kilometrów kwadratowych najlepszych polskich grzybowisk, ci wszyscy faceci w czapkach z daszkiem podążają tam gdzie ty, a większość zapewne dokładnie tam gdzie ty, w twoje święte grzybowe miejsca, przy drugim a może trzecim moście. Opanowuje cię wściekłość i czujesz, że gdybyś chciał, mógłbyś nienawidzić. Gwałtowny przypływ gniewu dodaje ci mocy. Wciskasz jeszcze głębiej pedał gazu. Z emocji zasycha ci w gardle. Pociągasz łyk mineralnej z butelki.

Gdy już docierasz na miejsce, ty - supergrzybiarz nie zatrzymujesz się jak wszyscy inni na obrzeżach lasu. Wjeżdżasz do środka. Dobre dwa kilometry pędzisz jak oszalały leśnym duktem w głąb sosnowych kwater. Byle dalej, byle pierwszy, byle przed tą hordą w czapkach z daszkiem. Ukrywasz auto za którymś z kolei leśnych zakrętów, wysiadasz, wyciągasz kosz, spryskujesz się repelentem odstraszającym komary i kleszcze i zaciągasz w płuca haust chłodnego jeszcze leśnego powietrza. To twoja ulubiona chwila, gdy powoli zanurzasz się w

woni żywicy, przemieszanej z zapachem murszu i grzybów. Właśnie zaczyna świtać, a ty, całkiem już spokojny ruszasz, pierwszy przed wszystkimi, na - być może - największe w życiu grzybowe łowy. A oni – ci żałośni amatorzy, ci miłośnicy plastikowych wiader – gdy już tu dotrą, będą tylko cmokać na pozostawione przez ciebie resztki grubych jak nadgarstek trzonów pękatych borowików, które chwilę wcześniej wyrwałeś ściółce. Taaak... rządzisz i masz wszystko pod kontrolą. Za kilka godzin powrócisz tu jako wielki zwycięzca, dźwigając twój stary wiklinowy kosz, wypełniony po brzegi aksamitnymi bordowikami, czerwonymi koźlarzami, kształtnymi niczym kasztany podgrzybkami i jędrnymi zielonkami. I nigdy, zaprawdę nigdy do głowy by ci w tym momencie nie przyszło, że ty, wyruszający na podbój lasu wyrachowany łowca, dokładnie w tej samej chwili stajesz się też ofiarą, zwykłym, pospolitym sierściuchem, żywicielem – krwiodawcą, który zostanie za chwilę bezwzględnie wykorzystany, a potem porzucony. On już cię bowiem zauważył, a jeśli nie zauważył, to wyczuł, bo wrażliwe receptory, jakie posiada, nieomylnie odnalazły w powietrzu smugę dwutlenku węgla, którą pozostawiasz za sobą oddychając. Już wzbił się w powietrze i podąża za tobą. Nie wie jeszcze, czy jesteś jeleniem, sarną, czy innym dziko żyjącym sierściuchem. Gdy się zbliża do ciebie, w dobry nastrój wprowadza go zapewne zapach środka odstraszającego owady, którego przed chwilą użyłeś, wierząc w swojej naiwności, że jest skuteczny. Nie łudź się. Nie jest skuteczny. Żaden repelent na niego nie działa i nie jest w stanie go powtrzymać, gdy już zwietrzy spoconego sierściucha. Teraz ważna jest dla niego tylko sierść, bo ta znaczy tyle co ssak, a ssak to skórzany worek wypełniony krwią, a krew to życie i przetrwanie. Proste i okrutne zarazem.

Dopada twojej głowy niemal bezgłośnie. Skupiony na zbieraniu grzybów, nie zwracasz uwagi na krótkotrwałe, ledwie słyszalne basowe bzyknięcie tuż przy uchu, poprzedzające lądowanie na twojej potylicy – jego ulubionym człowieczym lądowisku. Niemal natychmiast odrzuca skrzydła i zaczyna przemieszczać się w głąb twoich włosów. Nawet jeśli coś teraz poczujesz - niewiele to zmieni. Ma ledwie trzy milimetry, mocno spłaszczone, twarde, pokryte chitynowym pancerzykiem ciało i mało prawdopodobne, byś wydobył go tak po prostu z włosów i rozgniótł w palcach. Dzięki pazurkom czepnym mocno przywiera do twojej głowy. To pasożyt niemal dokonały i prawdziwy ekspert w zapobieganiu nagłym eksmisjom z ciała żywiciela. Gdy poczuje się już pewnie, swoim kłująco-ssącym aparatem gębowym wkłuwa się w skórę i zaczyna ssać twoją krew. On będzie to czynił niewiele dłużej niż kwadrans, a ty będziesz to wspominał przez kilka następnych tygodni. Pozostawi ci nieprzyjemną pamiątkę w miejscach ukłuć, w postaci jątrzących się, ustępujących niezwykle powoli bolesnych guzków. Ciesz się jednak, że jesteś człowiekiem. Sprawiasz mu tym wielki zawód, bo będzie się czuł niczym wampir, któremu z braku ludzkiej ofiary przychodzi pić z odrazą zwierzęcą juchę. Tyle, że u niego na odwrót: by żyć i się rozmnażać, potrzebuje krwi dzikich sierściuchów, najlepiej saren i jeleni, na ciele których złoży larwy dające początek nowemu pokoleniu. Przy ludzkiej krwi ledwie przeżyje, nie pozostawiwszy jednak po sobie potomstwa. Masz więc prawo do małego *Schadenfreude*.

Mój kolejny tekst w *Echu* postanowiłem poświęcić strzyżakowi jelenicy, zwanemu także strzyżakiem sarnim *(Lipoptena cervi),* pasożytowi zewnętrznemu z rzędu muchówek. Aby nie był tylko nudnym entomologicznym opisem, wplotłem go w autoironiczną historyjkę o jesiennych ekscytacjach kogoś tak grzybniętego jak ja sam. Dlaczego wybrałem strzyżaka? Trochę z przekory. Czy słyszeliście o nim kiedykolwiek? A może straszono Was kiedyś nim tak, jak straszy się corocznie wiosną kleszczami? Wątpię. Nie lekceważąc - uchowaj Boże - konsekwencji związanych z bliższym kontaktem z kleszczem, mogę na podstawie własnych wieloletnich doświadczeń stwierdzić, że po wielokroć częściej przychodzi zmierzyć się w lesie ze strzyżakiem i poczuć we własnej głowie nieprzyjemne tego skutki niźli z bardzo przereklamowanym kleszczem. Większość bywalców lasów wie, o czym piszę. Strzyżak to prawdziwa leśna plaga i cieszyć się tylko, że nie dowiedziono bezspornie, by roznosił - na podobieństwo kleszcza - jakiekolwiek groźne dla człowieka choroby. Ciekawa to jednak muchówka i każdy potencjalny sierściuch powinien mieć o niej podstawową choćby wiedzę. A jak wygląda? Jak senny koszmar zoofoba. Spójrzcie tylko proszę na załączone fotki.

Marek Sarna

Proboszczów cz. II

Zabytki

Wieś posiada kilka ciekawych zabytków, z których **XIII-wieczny kościół parafialny Św. Trójcy** ma najciekawszą historię. W połowie XVI w. Proboszczów stał się ośrodkiem protestantów. Prawdopodobnie tutaj zostało wygłoszone pierwsze na Śląsku kazanie w kościele zreformowanym. W tym czasie w miejscowym kościele nauczał pastor Melchior Liebelt.

Kościół Św. Trójcy w Proboszczowie. Zdjęcie archiwalne

Kościół wzniesiony został pierwotnie w stylu romańskim w połowie XIII w. Świadczy o tym zachowany romański portal w południowej elewacji kościoła. Istnieją także niepotwierdzone informacje, że kościół powstał w 1168 r. W 1419 r. Sander von Grunau dobudował kaplicę, która obecnie jest zakrystią. Po przejęciu kościoła przez ewangelików nastąpiła przebudowa kościoła. W 1548 r. dobudowano empory. W późniejszym okresie, w 1673 r. przedłużono nawę główną o cztery osie okienne, a w latach 1701-1702 dobudowano trzecią kondygnację empor, wieżę i drewniane sklepienie pozorne. Prace te były związane z dostosowaniem świątyni do pełnienia roli kościoła ucieczkowego. Tę rolę pełnił on w latach 1653-1742. Fundatorem przebudowy kościoła był hrabia von Redern, a autorem projektu - włoski architekt Giullio Simonetti. Na początku XVIII w. kościół osiągnął dzisiejsze rozmiary.

Kaplica Rednerów na cmentarzu w Proboszczowie

Ostatnim przedwojennym pastorem był Edgard Graupe: 1915-1945. Zamieszkiwał on ze swoją rodziną : żoną Margarete i córkami: Renate, Ruth i Inge w budynku obecnej plebanii. Nazywano go „ulubionym duchownym wspaniale ozdobionego malowidłami ewangelickiego kościoła ucieczkowego". Kościoła, który mieścił 3000 wiernych - protestantów, przybywających tutaj na msze nawet z Karkonoszy.

Po II wojnie światowej stopniowo popadał on w ruinę. Wchodził początkowo w skład parafii rzymsko-katolickiej w Pielgrzymce. Proboszczem był ks. Bolesław Boś. W wyniku starań wiernych w 1958 r. utworzono parafię w Twardocicach z siedzibą w Proboszczowie. Jej pierwszym proboszczem był ks. Stanisław Owczarz. Po nim kolejno: księża: Jan Grabiński, Ryszard Mucha i aktualnie - ks. Mirosław Łyczko.

W latach 1961-1965 został przeprowadzony tu remont generalny i nastąpiło przejęcie go przez parafię katolicką. W wyniku prac remontowych zdemontowano drewniane sklepienie pozorne i empory. Wewnątrz kościoła znajduje się kamienny ołtarz z około 1725 r, drewniane, polichromowane ołtarze boczne, wolno stojąca, drewniana, polichromowana ambona z przełomu XVII i XVIII w. oraz chrzcielnica z końca XVIII w. Wśród kamiennych epitafiów na uwagę zasługuje płaskorzeźba *Zmartwychwstanie* w nagrobku Redernów z II połowy XVI w. Obok kościoła stoi **kaplica grobowa von Redernów** z 1729 r. Ksiądz Jan Grabiński zainicjował wśród parafian zbiórkę funduszy na remont wieży kościelnej. Zakończono go w 2007 r. i Biskup Stefan Cichy poświęcił krzyż umieszczony na szczycie kopuły wieży.

Pałac

Park i pałac z 1821 r. jest położony na lewym brzegu Skory. Początkowo istniał tu w XVII w. „dolny" ogród usytuowany na północ od rezydencji. Dopiero Friedrich Reinhold Redern w 1747 r. polecił otoczyć ten teren kamiennym murem. Z północy na południe park przecinał rów melioracyjny. Poprzecznie do niego biegły dwie ścieżki. Może istniała jeszcze trzecia południowa ścieżka. Zachował się po niej jedynie neogotycki mostek nad rowem melioracyjnym. Środkowa ścieżka łączyła bramki umieszczone w kamiennym murze. W 1872 r. na terenie „dolnego" ogrodu powstał park krajobrazowy typu angielskiego zaprojektowany przez Eduardo Petzolda dla Magdalene Wiggert. Głównym elementem powstałej kompozycji był staw z trzema wysepkami. Park znajdował się po zachodniej stronie pałacu. Na północ od pałacu znajdowała się oranżeria i fontanna. Wcześniej istniejący tu drzewostan dębowy został wzbogacony o lipy drobnolistne, klony pospolite, graby. Wiele z drzew w parku stanowią dzisiaj okazy o charakterze pomników przyrody. Należą do nich dęby szypułkowe, lipy drobnolistne, buki pospolite, klony pospolite, klony srebrzyste, buk pospolity odmiany purpurowej, jesion wyniosły, lipa szerokolistna, grab pospolity i dąb szypułkowy odmiany stożkowej. Niektóre z nich liczą sobie około 200 lat, młodsze zaś - 120 - 130.

W tym roku pałac i przylegający do niego

Pałac w Proboszczowie, widok przedwojenny.

zabytkowy park przeszły w ręce prywatne. Obecni właściciele zamierzają w pierwszej kolejności zająć się renowacją parku, aby przywrócić mu dawny wygląd i świetność. Być może już niedługo mieszkańcy wsi i turyści wybierający się na Ostrzycę, będą mogli zażyć odpoczynku nad pięknym stawem, w cieniu starych drzew, przed wyruszeniem na zdobycie Ostrzycy. Tak jak mogli to zrobić za czasów von Redernów.

We wsi jest jeszcze szereg zachowanych zabytkowych obiektów, np. przedwojenna apteka, kuźnia, poczta, willa po byłym ośrodku zdrowia, budynki szachulcowe i zabudowania gospodarcze.

Fudżijamki

Zespół „Fudżijamki" powstał w 2009 roku w Proboszczowie u stóp Ostrzycy - stożka wulkanicznego, który w przewodnikach turystycznych nazywany jest Śląską Fudżijamą. Stąd nazwa zespołu. Ostrzyca była także inspiracją do projektu strojów. Zespół liczy 21 osób i ciągle się powiększa. Ma za sobą wiele udanych występów. Cyklicznie prezentuje się na Dożynkach Gminnych, Biesiadzie Zespołów Kresowych i Przeglądzie Kolęd i Pastorałek. Największą sławę przyniosła „ Fudżijamkom" reklama, która nagrana została na konkurs ogłoszony przez telewizję Netia. Filmik zajął I miejsce i ukazał się w wielu stacjach telewizyjnych. Od tego momentu zaczęła się zabawa z filmami reklamowymi. Mają na swym koncie już 6, które w pewnym stopniu ukazują piękno i prostotę wsi. Zespół śpiewa, gotuje, bawi się, pomaga, tworzy. Ma swoje marzenia. Spełniło się już kilka z nich, a ostatnio kolejne: prezentują swoje umiejętności na falach Radia Wrocław w konkursie „Lista Przebojów Ludowych". Kierownik zespołu - Beata Gralak powtarza: „Bez względu na wynik, my już cieszymy się, że zrobiliśmy kolejny krok do przodu".

Drużyna OSP Proboszczów

Straż Pożarna

Ochotnicza Straż Pożarna w Proboszczowie powstała w 1946 r. Jej pierwsi członkowie to: Józef, Marian i Kazimierz Andreasie, Tadeusz Brzuszek, Mikołaj Szymków, Andrzej Pawlaczyk, Władysław Witkowski, Antoni Ciechanowicz, Kazimierz Stępień, Stanisław Rogalski, Henryk Michałek. Początkowo wóz strażacki był przyczepiony do ciągnika.

Komendanci: Mikołaj Szymko, Stanisław Rogalski, Michał Jaworski. Działacze: Franciszek Rabski, Ryszard Zapolski, Eugeniusz Oleksiuk, Antoni Ciechanowicz. Działalność straży zanikła na koniec lat 70. Potem na pocz. lat 80. wznowił ją Jerzy Jokiel, po nim Jan Kamiński, a od 1985 do 2011- Jacek Rycąbel; naczelnik-Adam Wójcik. Za swoją działalność drużyna

Straż ze sztandarem na 1 Maja - lata 60-te XXX w.

OSP otrzymała w latach 90. srebrny medal.

Od 2011 roku prezesem OSP jest Marek Świtała, a jego zastępcą Bartłomiej Andrzejewski. Funkcję naczelnika pełni Paweł Nowaczewski. W straży jest około 30 członków czynnych, w tym są także drużyny: żeńska i młodzieżowa. Zarząd OSP czyni starania, aby wejść do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego. Jednostka podjęła decyzję o wyspecjalizowaniu działań w zakresie ratownictwa powodziowego. W tym też kierunku odbywają się szkolenia i gromadzony jest odpowiedni sprzęt. W latach 2011 i 2013 drużyny OSP Proboszczów zajęły I miejsce w zawodach gminnych, a w 2013 r. zakwalifikowały się do zawodów powiatowych.

Fudżijamki

Ludowy Zespół Sportowy

Ludowy Zespół Sportowy utworzono w 1949 roku. Ówcześni działacze to: Roman Baran, Jan Matecki, Marian Domaradzki i Stolarczyk. Początkowo grano w parku pałacowym. Było tam boisko i bieżnia. Najpierw finansowano drużynę ze środków własnych, potem z PGR.

Drużyna LZS Huragan Proboszczów - 2013 r.

Do roku 2010, LZS „Huragan Proboszczów" działał we współpracy z Gminą Pielgrzymka. W 2010 r. założono stowarzyszenie, które przyjęło nazwę „Stowarzyszenie Piłkarskie LZS Huragan Proboszczów". Prezesem jest Waldemar Jastrzębski, a Wiceprezesem Mirosław Bałut.

Są dwie drużyny zarejestrowane w OZPN Legnica, seniorzy w klasie B i drużyna juniorów, która od samego początku istnienia zajmuje czołowe miejsce w tabeli. Sezon 2012/2013 zakończyli na drugim miejscu. Juniorów prowadzi Piotr Drabik. Jest też sekcja trampkarzy, która może się już poszczycić udziałem w Ogólnopolskim Turnieju Piłki Nożnej LG CUP 2013 w Czempiniu. Środki na działalność Stowarzyszenia pozyskujemy między innymi z Gminy Pielgrzymka, która co roku ogłasza konkurs na popularyzację sportu. Sponsorami drużyny jest *Gospodarstwo Rolne Lesław i Czesława Konopka*. Dzięki nim zawodnicy otrzymali nowe stroje i sprzęt sportowy. Sukcesy klubu to: udział w 1/8 Finału Wojewódzkiego Pucharu Polski w 1980 oraz jego wychowanek Rafał Golba, obecnie trener.

Wieś obecnie

Proboszczów liczy 1025 mieszkańców. Są tutaj: 4 sklepy, 1 zakład samochodowy, 1 fryzjer, agencja pocztowa w sklepie, skład opału, 1 stolarz, szkółka iglaków ozdobnych, gospodarstwo agroturystyczne, leśniczówka w nowym budynku (obecny leśniczy to Konrad Leszczyński; przed nim byli to: Józef Wiśniowski, Tytus Głodowski, Zbigniew Żyta). Aktywnie działa zespół ludowy. Funkcjonuje, nowo otwarta w sierpniu tego roku po remoncie, świetlica wiejska, gdzie mieści się filia biblioteki gminnej prowadzona przez Elżbietę Szymczyk (przed nią - Bożena Szumilas, Barbara Matoga). Największym gospodarstwem rolnym jest rodzinne Gospodarstwo Rolne Lesława i Czesławy Konopka. Duże gospodarki mają także: Tadeusz Szymański, Tadeusz Dziuk, Jan Rogowski, Andrzej Polak, Władysław Maliszewski, Paweł Stolarczyk, Józef Żałobniak, Dariusz Orlewski, K. Stępień, Zdzisław Nawrocki, Edward Puchłowski. Adam Szymczyk hoduje dodatkowo konie; August Pluto jest pszczelarzem, a Zbigniew Podwalny, oprócz pszczół, ma uprawę malin.

Walory krajoznawcze i krajobrazowe

Wieś jest miejscem atrakcyjnym turystycznie już od czasów przedwojennych. Jest malowniczo położona wzdłuż Skory, do której uchodzą Chełst i Dolnik. Leży na żółtym Szlaku Wygasłych Wulkanów – do Wielisławki oraz na zielonym Szlaku Zamków Piastowskich (Grodziec- Ostrzyca- Wleń). Również wzgórza pomiędzy Proboszczowem a Bełczyną oraz niedalekimi Rząśnikiem i Sokołowcem zachęcają do wędrówek pieszych. Świetnym miejscem na biwak jest Niedziałek - wzgórze z wyrobiskiem po kamieniołomach wapienia. Pod Ostrzycą też można usiąść przy ognisku czy grillu, gdyż jest tam stanica zbudowana przez Leśnictwo. Do rezerwatu prowadzi zabytkowa aleja lipowa. Gdy już wejdziemy po XIX-wiecznych schodach na szczyt, możemy podziwiać panoramę Karkonoszy, Gór Izerskich, Kaczawskich i Pogórza Kaczawskiego. Szkoda, że nie można już przekąsić czegoś w nieistniejącej restauracji, ale może to tylko kwestia przyszłości.

Są we wsi entuzjaści, którym zależy na promocji miejscowości i okolicy. Z inicjatywy właścicieli gospodarstwa agroturystycznego Danuty i Waldemara Kurełów, zostało powołane w listopadzie 2010 r. Ekomuzeum Ostrzyca. Ekomuzeum tworzą gospodarstwa ekologiczne, winnice, hodowcy psów haskich, hodowcy kwitnących kaktusów, a także rzemieślnicy, którzy chcą zaprezentować swoje wytwory turystom. Ekomuzeum ma na celu ukazanie całego piękna regionu z jego zasobami społeczno-kulturowymi, historycznymi oraz przyrodniczymi.

Proboszczowicki „Zaczarowany Ogród" to niezwykłe miejsce. Stary dom z 1851 roku otoczony jest ogrodem, częściowo półdzikim, połączonym z lasem i Szkółką Iglaków Ozdobnych, którą od 18 lat prowadzą Halina i Tadeusz Stępniowie. Turyści mogą rozpoznawać różnorodne gatunki iglaków, degustować wino oraz wypoczywać na łonie natury.

Zaczarowany Ogród

Przy kościele Św. Trójcy wisi tablica z wizją wsi. Proboszczów przyszłości to wieś przyjazna turystom, zadbana, z większą liczbą gospodarstw agroturystycznych, z warsztatami rękodzieła i pokazami ginących zawodów, zagospodarowanym pałacem i parkiem z pięknym, czystym stawem, placami zabaw, nieograniczonym dostępem do Internetu dla wszystkich, wyremontowaną świetlicą, punktami gastronomicznymi, usługami fryzjerskimi, krawieckimi i innymi.

Powoli ta wizja przybiera realne kształty: jest coraz więcej zadbanych posesji, oddano do użytku świetlicę, szkoła ma bezprzewodowy Internet, odbywają się warsztaty rękodzielnicze. Z niecierpliwością czekamy na resztę.

Materiał opracowała Wioleta Michalczyk oraz mieszkańcy Proboszczowa: Beata Gralak, Beata Andryjasik, Bartłomiej Andrzejewski, Jacek Rycąbel, Urszula Panek, Wojciech Rycąbel, Maria Węgrzyn, Genowefa Niklewicz, Andrzej Kosin. Szczególne podziękowania należą się pani Halinie Pawlaczyk. Zdjęcia: Łukasz Rycąbel. Większość zdjęć pochodzi ze zbiorów mieszkańców wsi.

Śladami Napoleona w dolinie Skory 1813 - 2013

XII Powiatowy Dzień Regionalisty odbył się 27 września 2013 roku na stadionie w Pielgrzymce pod hasłem *Śladami Napoleona w dolinie Skory 1813-2013.* Uroczystość tę pod patronatem Starosty Złotoryjskiego współorganizowało Gimnazjum im. Wł. ST. Reymonta w Pielgrzymce wraz z Towarzystwem Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.

Obchody Dnia rozpoczęto od posadzenia pamiątkowego dębu w parku w Pielgrzymce. Istotnym, wprowadzającym w temat obchodów, punktem programu był wykład Cezarego Skały pt. *Wydarzenia napoleońskie 1813 roku w Pielgrzymce i okolicy.* Dodatkową atrakcją była wystawa pokonkursowych prac plastycznych związanych z epoką napoleońską.

Uroczystość posadzenia dębu w 200.rocznicę wydarzeń napoleońskich w Pielgrzymce

Podczas obchodów uroczystości mistrzowskimi umiejętnościami łuczniczymi wykazali się zawodnicy klubu GLKS Unia Pielgrzymka. Uczniowie Gimnazjum im. Wł. ST. Reymonta w Pielgrzymce – gospodarza uroczystości – zaprezentowali swoją szkołę i poszczególne miejscowości gminy: Pielgrzymkę, Wojcieszyn, Twardocice, Proboszczów, Czaple, Nową Wieś Grodziską, Sędzimirów i Nowe Łąki.

Kulminacyjnym punktem obchodów była inscenizacja walki o most, którą stoczyły między sobą w 1813 roku wojska Napoleona z koalicją rosyjsko – pruską. Zaprezentowali ją uczniowie klas trzecich Gimnazjum w Pielgrzymce. Ćwiczenia i próby do przedstawienia trwały przez trzy tygodnie.

Atrakcjami dodatkowymi XII Dnia Regionalisty była degustacja wypieków przygotowanych przez rodziców gimnazjalistów – mieszkańców gminy oraz poczęstunek w postaci gorącej zupy grochowej z bułką. Dodatkowo młodzież mogła wypróbować swoje siły, biorąc udział w konkursie wyciskania ciężarków oraz strzelania z łuku.

Ta swoista lekcja historii sprawiła zgromadzonym sporo przyjemności i, co ważniejsze, dostarczyła istotnej wiedzy, często nieznanej, o przeszłości lokalnych ziem – naszej małej ojczyzny.

Urszula Serwach – nauczycielka jęz. polskiego w Gimnazjum im. Wł. St. Reymonta w Pielgrzymce, opiekunka gazetki szkolnej „Klakier”
zdjęcia z archiwum Gimnazjum w Pielgrzymce

Walka o most

Kulminacyjnym wydarzeniem Dnia Regionalisty była inscenizacja historycznego wydarzenia. Dwieście lat temu na Skorze wywiązała się walka o most między wojskami napoleońskimi a koalicją rosyjsko-pruską. W inscenizacji tej walki wzięli udział ochotnicy z trzecich klas Gimnazjum w Pielgrzymce jako dwa regimenty: pruski i francuski. W tajniki musztry sprzed dwustu lat niesłychanie cierpliwie wprowadzał ich Cezary Skała. Próby trwały trzy tygodnie.

W jaki sposób znaleźliście się w tym projekcie?

Marcin – dowódca regimentu pruskiego: Pani dyrektor przyszła do trzecich klas i powiedziała, że potrzebuje z każdej klasy po 15 osób. Do jakiejś bitwy. Nie wiedzieliśmy, o jaką bitwę chodzi. Myśleliśmy, że może jakaś ustawka?

Pani dyrektor zaproponowałaby wam ustawkę? Już to widzę!

Adrian – dowódca regimentu francuskiego: Na początku też myślałem, że to ustawka ☺. Koledzy przyszli do mnie i powiedzieli, że szykuje się jakaś bitwa. W ogóle nie wiedziałem, o co chodzi.

Julia: Od samego początku wiedziałam, że chodzi o bitwę napoleońską. Bo nasza klasa miała lekcję z panią dyrektor, która wytłumaczyła nam, o co chodzi. Na początku lekcji był komunikat, a chętni mieli się zdecydować do końca lekcji. Oni zostali po lekcji w klasie, aby usłyszeć szczegóły.

Dlaczego się zgłosiłaś? Co tobą kierowało?

Julia: Szykowała się nowa fajna przygoda, jakieś nowe przeżycie.

Czy ktoś z was wiedział o wydarzeniach napoleońskich na tym terenie 200 lat temu?

Marcin – dowódca regimentu pruskiego: Wiedziałem bardzo ogólnie, że Napoleon był osobiście w Pielgrzymce, że tędy przechodziły wojska w trakcie kampanii. Jednak nic więcej.

Dlaczego wybraliście na dowódcę właśnie tych chłopców?

Dominik – z regimentu francuskiego: Bo Adrian był najwyższy i najbardziej pasował na dowódcę ☺.

Dominika – z regimentu pruskiego: Marcin potrafi kierować ludźmi. Wiedzieliśmy o tym. Ma głos taki... taki... jak powinien mieć dowódca. Czasami – jak trzeba – to nami rządzi, mimo że jest niskiego wzrostu.

Moi drodzy, wielcy ludzie byli niscy wzrostem, prawda? Na przykład Napoleon.

Jak to jest być dowódcą? Co jest w tym najtrudniejsze?

Marcin – dowódca regimentu pruskiego: To jest na pewno duża odpowiedzialność za to, co się robi na polu bitwy. Odpowiedzialność za cały regiment. Czuję ogromną satysfakcję, gdy udaje nam się zrobić szczególnie trudny manewr, gdy regiment wypełniał moje rozkazy. Jestem z was bardzo dumny!

Adrian – dowódca regimentu francuskiego: Przede wszystkim trzeba znać treść wszystkich komend. Nie zawsze moi koledzy mnie słuchają. Chyba jestem za mało stanowczy.

Co jest najtrudniejsze w musztrze żołnierskiej?

Marcin – dowódca regimentu pruskiego: Ja tylko wydaję rozkazy jako dowódca, więc nie mogę o samej musztrze za wiele powiedzieć. Jednak największym kłopotem dla moich kolegów było równe ustawienie się. No i te odległości między żołnierzami. Ciągle stają za blisko siebie. A poza tym nie było większych problemów.

Widzę, że chętnie przychodzicie na próby, że wam się to podoba. Co was w tym pociąga?

Marcin Puczko: Po pierwsze przepadają nam lekcje ☺. No i to jest takie inne, niezwykłe. Takich rzeczy nigdy wcześniej nie robiliśmy. To jest fajne w zderzeniu z szarą rzeczywistością.

Dominika: Będziemy reprezentować naszą szkołę. Podoba mi się, gdy tak maszeruję, Marcin wydaje rozkazy, a ja je wypełniam. Jak w wojsku!

Jak reagują wasi koledzy na udział w takim projekcie?

Dominik: Niektóre osoby z mojej klasy zrezygnowały, bo przestało im się podobać. Nie rozumiały tego i wydawało im się to nudne. A ci, którzy zostali, to nie widać było, żeby narzekali na te próby. Czasami jest taki problem, że nie możemy do końca zrozumieć jakąś komendę. Wtedy się mylimy.

Marcin – dowódca regimentu pruskiego: Jestem członkiem Grupy Rekonstrukcji Historycznej Księstwa Legnicko – Brzeskiego z siedzibą na zamku Grodziec. W grupie tej odtwarzam postać szlachcica polskiego z XVII wieku. Nie jestem żołnierzem, ale brałem udział w musztrze piechoty siedemnastowiecznej. Treść komend jest inna niż ta, którą ćwiczymy, jednak przekaz jest ten sam. Opiera się to na tych samych zasadach.

Według mnie jest to bardzo ciekawy sposób na spędzanie wolnego czasu. Poza tym podczas przygotowania stroju historycznego pogłębia się wiedzę o danym okresie.

Czy z udziału w tym projekcie wynieśliście jakieś informacje o okresie napoleońskim w waszej gminie?

Dominik: Wiedziałem, że Napoleon był na tych terenach. Nowością dla mnie było to, że przebywał w Pielgrzymce cały dzień i rozmawiał z miejscową ludnością. To było w karczmie, która tu kiedyś stała.

Julia: Moja rodzina bardzo się cieszy, że będę brała udział w tej inscenizacji. Można się przekonać jak to jest, gdy trzeba przestrzegać dyscypliny, wczuć się w rolę, jak to było kiedyś. Trochę też można się dowiedzieć o historii tych ziem. To jest bardzo ciekawe. Rodzice są z nas dumni.

Życzę wam, żeby jutro wszystko wam się wspaniale udało. Dowódcom życzę zadowolenia ze swych regimentów. Do zobaczenia jutrot na boisku!

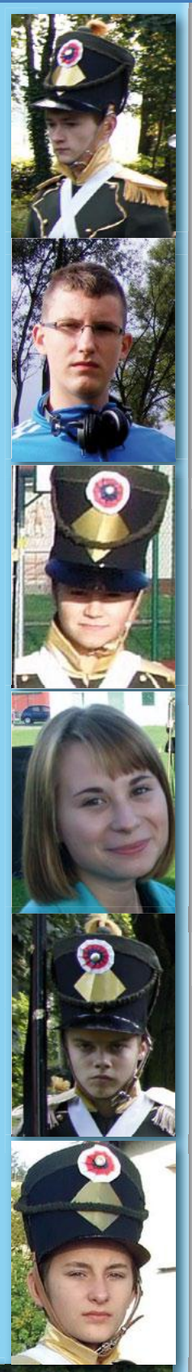

Na zdjęciach obok, kolejno od góry: Marcin Trajfacki, Adrian Kos, Julia Danielak, Dominika Kasprzyk, Dominik Kulpa, Marcin Puczko.

Agnieszka Młyńczak

Inscenizacja walki o most. W niebieskich ubraniach regimenty francuskie, w czarnych – pruskie.

Być cząstką historii

Korowód uczestników uroczystości posadzenia dębu

Pani szkoła jest głównym organizatorem uroczystości XII Dnia Regionalisty. Czym się pani kierowała, podejmując decyzję o udziale szkoły?

Laura Ogonowska – dyrektor Gimnazjum im. Władysława Stanisława Reymonta w Pielgrzymce: Organizację Dnia zaproponowało nam Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Chcieliśmy być cząstką historii okresu napoleońskiego, dlatego bez wahania i nawet bez konsultacji z nauczycielami zgodziłam się. Wiedziałam, że moja kadra na pewno wyrazi zgodę na takie przedsięwzięcie.

To spore przedsięwzięcie. Z tego, co zauważyłam, to zaangażowała pani do pracy całe grono nauczycielskie.

Nie tylko, również pracowników, a nawet rodziców. Ale na tym polega praca w szkole. Aby coś wyszło, należy to robić razem.

Uczniowie zostali zaangażowani do pracy przy kotylionach, są w inscenizacji napoleońskiej, jutro będą prowadzić uroczystość. Sporo tego.

Tak, to są przede wszystkim klasy trzecie, ale inni uczniowie też mają swój udział: dziewczęta z pierwszej klasy grają markietanki w inscenizacji walki o most; uczennice z klasy drugiej pomagają robić kotyliony. Będzie ich 360!

Zapytam trochę przewrotnie: czy Dzień Regionalisty ma jakiś sens?

Zwykle w obchodach takiego dnia biorą udział tylko delegacje z innych szkół. Nie sposób zapewnić udziału wszystkim uczniom z każdej szkoły w gminie. Ale jeśli nawet tylko część z nich weźmie udział, to ta cząstka będzie kojarzyć wydarzenia napoleońskie na naszym terenie. To jest właśnie poznawanie naszej małej ojczyzny.

Obchody Dnia są świetnie przez waszą szkołę przygotowane, widać, że organizacja jest bardzo dobra.

Jestem nauczycielką matematyki i lubię mieć wszystko dobrze poukładane. Uważam, że jeśli wszystko się porządnie zaplanuje, to potem się po prostu uda. Przyznam, że nie zawsze można do końca wszystko przewidzieć i zorganizować, ale to, co wychodzi nieoczekiwanie w ostatniej chwili, przynosi pozytywny dreszczyk adrenaliny.

Jaka jest współpraca z rodzicami w tym zakresie?

Po prostu bardzo dobra! Nasza prośba o pomoc była skromna, a rodzice sami wyszli z inicjatywą, że oprócz zupy, która została wliczona w koszty przedsięwzięcia, oni sami przygotują deser w postaci ciast. Typowe domowe ciasta w postaci bab, placków drożdżowych, itp. zostały upieczone przez rodziców. Z każdej klasy są planowane minimum po cztery rodzaje ciast.

To sporo!

Chcemy ugościć każdego uczestnika, chociaż po dwa kawałki. Powinno być ok. 680 kawałków – obliczyłam matematycznie ☺.

No i te kotyliony. To ogromna praca!

Mamy na terenie gminy panią Olgę (jednocześnie matkę naszego ucznia), która realizuje się plastycznie, poprosiliśmy ją o pomoc. Nie odmówiła. W wykonanie kotylionów też zaangażowali się inni rodzice.

Komu chciałaby pani podziękować?

Przede wszystkim bardzo dziękuję rodzicom. Szkoda, że nie mogę ich wymienić z imienia i nazwiska, ale osób, które bardzo zaangażowały się w organizację Dnia Regionalisty, jest bardzo dużo. Dziękuję nauczycielom, że poświęcali lekcje, aby oddelegować młodzież na próby inscenizacji. Nie było z tym problemu, chociaż zdaję sobie sprawę, że to im dezorganizowało pracę. Pragnę podziękować także Panu Tomaszowi Sybisowi – wójtowi gminy za pomoc w organizacji tej uroczystości – użyczenie namiotów, stołów i zapewnienie pracowników. Ale przede wszystkim bardzo dziękuję za sfinansowanie gorącego posiłku dla wszystkich uczestników.

Pani dyrektor, chcę powiedzieć, że wraz moim kolegą Czarkiem Skałą bardzo chętnie przyjeżdżaliśmy na te próby. I młodzież chętnie ćwiczyła, i z panią wspaniale nam się współpracowało.

Bardzo dziękuję pani i panu Czarkowi Skale. Bez Was całe to przedsięwzięcie w ogóle nie doszłoby do skutku. Ja też o wielu faktach historycznych z epoki napoleońskiej dowiedziałam się dopiero teraz. Jeszcze raz bardzo, bardzo dziękuję!

Cała przyjemność po naszej stronie.

Mam nadzieję, że jutro wszystko się uda i pogoda dopisze. Musi przestać padać!

To czekamy na jutro i życzę serdecznie, aby wszystko przebiegło pomyślnie.

Rozmawiała Agnieszka Młyńczak

Złotoryjska pielgrzymka

Ktoś ciekawie napisał: „to nie droga jest trudnością, to trudności są drogą”. Inspirowani również tymi słowami postanowiliśmy udać się w kolejną pielgrzymkę organizowaną przez Parafię p.w. św. Jadwigi w Złotoryi. Tym razem za cel wędrówki obraliśmy południe Polski, a konkretnie: Wieliczkę, Kalwarię Zebrzydowską, Wadowice i Oświęcim.

Pierwszym miejscem naszego pielgrzymowania, w piątek – 27 września, była kopalnia soli w Wieliczce. Już o 8 rano rozpoczęliśmy schodzenie w dół, pokonując 378 drewnianych stopni, prowadzących nas na coraz niższe poziomy kopalni. Wybraliśmy Szlak Pielgrzymkowy „Szczęść Boże”. Pielgrzymka w wielickich podziemiach to wspaniałe kaplice, wykute w soli sakralne rzeźby, unikalne widoki. Piękne komory, korytarze i przejścia. Tutaj wiara daje siłę na każdy kolejny krok. Ksiądz Kardynał Stanisław Dziwisz pobłogosławił Szlak Pielgrzymkowy na początku 2010 roku. Trasa stanowi piękne świadectwo religijności pracujących tu pokoleń wielickich górników. Wędrując podziwialiśmy wspaniałe rzeźby w kaplicy pod wezwaniem świętego Antoniego. Ich zatarte rysy to efekt działania sił natury i nieubłaganie upływającego czasu. Pielgrzymka prowadzi przez Drewnianą Golgotę wielickich górników, która zachwyca swoim kunsztem i elegancją wykonania. Punktem kulminacyjnym wędrówki jest cudowna Kaplica Św. Kingi. Podziwialiśmy wspaniałe ołtarze, rzeźbioną ambonę, kopię Ostatniej Wieczerzy Leonarda da Vinci czy solny pomnik Jana Pawła II. Na podziwianiu wystroju i artyzmu wystawionych tu dzieł sztuki spędzić można długie godziny…

Pielgrzymkę w Wieliczce kończyliśmy chwilą refleksji podczas mszy w podziemnej świątyni, w kaplicy św. Jana. Eucharystię w intencji pielgrzymów i parafian ofiarował złotoryjski wikariusz – autor niniejszego tekstu. Na deser pozostało podziwianie interesującej ekspozycji „Sacrum w dziedzictwie solnym” w Muzeum Żup Krakowskich. Już w tym momencie słowa gratulacji za wytrwałość należą się najstarszym uczestnikom, dzielnie pokonującym trudną trasę w kopalni, bez słowa narzekania lub skargi.

Drugim etapem wyjazdu była Kalwaria Zebrzydowska, a konkretnie Sanktuarium Matki Bożej, znajdujące się pod opieką ojców bernardynów. Wchodzące w skład zespołu bazylika i klasztor położone są na południe od miasta, u szczytu Góry Żar, na południe i wschód od nich znajdują się 42 kaplice i kościoły dróżek. Nazywane jest często *Polską Jerozolimą*. W 1999 sanktuarium wpisane zostało na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, a 17 listopada 2000 roku obiekt uznany został za Pomnik historii Polski. Kalwaryjskie sanktuarium jest jednym z ważniejszych miejsc kultu pasyjnego i maryjnego – łączy zarówno kult Chrystusa cierpiącego, jak i Matki Bożej. Ideą przewodnią jest odwzorowanie ostatniej drogi Chrystusa (Droga Pojmania i Droga Krzyżowa). W sanktuarium znajduje się obraz Matki Boskiej Kalwaryjskiej.

Wychodząc z założenia, że pielgrzym musi być silny i sprawny, po zakwaterowaniu w domu pielgrzyma spożyliśmy pyszny obiad, by już chwilę później pozwolić sobie na zwiedzanie sanktuarium pod kierunkiem przewodnika. A kolejnym etapem była droga krzyżowa w terenie, konkretnie po dróżkach kalwaryjskich. W tym momencie nawiązaliśmy do przekazu zawartego w filmie Andrzeja Wajdy „Z dalekiego kraju”, gdzie reżyser ukazuje małego Karolka uczestniczącego wraz z Ojcem w misterium Wielkiego Piątku, co roku tłumnie przeżywanego na Kalwarii z zaangażowaniem tysięcy osób. Nasza wędrówka w piątkowe popołudnie objęła część „Dróżek Pana Jezusa”, gdzie podziwianie budowli sakralnych połączyliśmy z modlitewnym rozważaniem wydarzeń dotyczących męki Pana Jezusa. Droga nie była łatwa. Tym większa satysfakcja po stromym wejściu na ostatni etap zakończony przyjęciem łaski Bożego błogosławieństwa i odpustu.

Powrót, odpoczynek i kolacja, ale nie koniec dnia. Pomimo zmęczenia spotkaliśmy się na wieczornej modlitwie różańcowej zakończonej zasłonięciem obrazu Matki Bożej i Apelem Jasnogórskim. Przyszedł czas na zasłużony odpoczynek w klasztornym przybytku, z pięknym widokiem na klasztor ojców Kamedułów i Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie.

Sobotnia pobudka. Dla większości osób już przed 6 rano, bowiem o tej godzinie jest odsłaniany obraz Matki Bożej i rozpoczynają się wspólne modlitwy w sanktuarium. Całą grupą spotkaliśmy się na Mszy św. o godzinie 7.00. Modlitwy nigdy nie jest za dużo. Dlatego ofiarowaliśmy tę Eucharystię za pielgrzymów i w intencji naszych parafian oraz księży pracujących w Złotoryi. I znów posiłek, a już o 9.00 wyjazd do kolejnych etapów: Wadowice i Oświęcim.

Wadowice… tego miejsca nie trzeba specjalnie prezentować. Dla nas istotna była sama obecność w miejscu chrztu Karola Wojtyły; choć były głosy, że bez kremówek wizyta nie będzie ważna. Tak się stało. Nawiedziliśmy Bazylikę podejmując wspólną modlitwę. Szczególnym momentem dla wielu pielgrzymów stało się ucałowanie chrzcielnicy, w której początek wiary otrzymał sakramentalnie przyszły Papież – Polak, już niedługo Święty Jan Paweł II. Kremówek nie zabrakło, na miejscu i na wynos (dla bliskich w Złotoryi). Ale była też uczta duchowa poprzez zwiedzanie ekspozycji muzealnej, dotyczącej życia Karola Wojtyły. Dom Papieski jest remontowany z zamiarem udostępnienia zwiedzającym na kanonizację. Udostępniona jest tymczasowa wystawa. Ale na swoim miejscu pozostał zegar słoneczny, na który z okna domu wiele razy spoglądał mały Lolek, czytając słowa: „Czas ucieka, wieczność czeka”. Ta myśl stała się dla nas powodem do osobistej zadumy i refleksji.

I już ostatni etap wędrówki: Oświęcim, a konkretnie obóz koncentracyjny Auschwitz – Birkenau. Patrząc na wiek uczestników wyjazdu, dla kilku osób był to bardzo osobisty etap. Nie zabrakło złożenia symbolicznej róży pod ścianą egzekucji, obok celi św. Maksymiliana Marii Kolbe. Podzieleni na dwie grupy, pod opieką przewodników rozpoczęliśmy zwiedzanie. Dla większości z nas nie była to pierwsza wizyta w obozie – ale dla wszystkich stanowiła nowe i bardzo osobiste przeżycie. Usłyszeliśmy słowa prawdy na temat hitlerowskiej zagłady Europy. Zobaczyliśmy świadectwo okrucieństwa nie tylko na narodzie żydowskim, ale również na Polakach, Rosjanach, Czechach, Romach, Francuzach… i wielu innych grupach narodowościowych. Nie obeszło się bez łez i osobistej modlitwy: by ta tragedia nigdy się nie powtórzyła.

Z Oświęcimia już powrót do domu. Odpoczynek, rozmowy, wspólna modlitwa pod przewodnictwem księdza, zaduma nad mijającym czasem. Jak na pielgrzymce nie zabrakło żartów, wspólnych śpiewów i planów na przyszłość. Co pozostało? Doświadczenie wspólnoty i wdzięczność Bogu i ludziom za życie i otrzymane dobra. Oraz nadzieja na kolejny wyjazd pielgrzymkowy.

Ks. Robert Rynkiewicz

Nad studnią w Sychem

W ostatnią środę (16-10-13), w ramach apelu z okazji Święta Patrona Szkoły klasa II c zaprezentowała sztukę autorstwa prof. Jolanty Zarębskiej, opartą na wierszach Karola Wojtyły.

Dzieło to w reżyserii Marcina Kisiela oraz Katarzyny Michalskiej niewątpliwie wywarło wrażenie na widzach. Aktorzy kolejno recytujący fragmenty wierszy, w delikatnym półmroku, na chwilę tylko rozjaśnianym światłem, wraz z *Requiem* Mozarta, stworzyli niesamowite wrażenie mistycyzmu i uniesienia, które towarzyszyło mi jeszcze dłuższą chwilę po wyjściu z sali. Uboga scenografia i brak kostiumów wysunęły na pierwszy plan to, co w teatrze rapsodycznym najważniejsze - czyli przesłanie i sens tekstu.

Również nie bez znaczenia była rola obsługi technicznej. Pomoc wychowawcy klasy (prof. Joanny Stolarczyk) i autorki sztuki dodatkowo zadziałały na korzyść finalnego dzieła. Owszem, zdarzyły się drobne potknięcia przy prezentacji tekstu scenicznego przez niektórych aktorów, jednak niewątpliwie spowodowane one były scenicznym debiutem i znaczącą tremą, jaką mogło wywołać to wydarzenie i dostojni goście na widowni.

Spektakl ten co do istoty jest modlitwą wielu ludzi do Boga, czymś, co każdy musi sam zrozumieć i na co nikt ani nic nie da prostej odpowiedzi, gdyż tak, jak różni są ludzie i ich modlitwy, tak i różne wnioski można wyciągnąć z tego spektaklu. Sztuka ta może być bardzo dobrą okazją do zadumy, a może nawet zastanowienia nad samym sobą i otaczającym światem. Szczególnie z treści przebiło się przesłanie poematu z *Pieśni o blasku wody* – była to rzecz o miłości, szacunku i dobru. Piękny akcent w obchodach Święta Patrona naszego Liceum – Jana Pawła II. Należy zaznaczyć, że w projekcie wzięli udział wszyscy uczniowie klasy II c, pełniąc różne role: od reżyserów po inspicjentów, scenografów, do fizycznej obsługi sceny i dokumentacji projektu.

Tego dnia odbyło się także w naszym Liceum zaprzysiężenie nowych pocztów sztandarowych i ślubowanie uczniów klas pierwszych. Uroczystość Święta Patrona Szkoły – Jana Pawła II rozpoczęła msza święta dla uczczenia pamięci naszego wielkiego Patrona w kościele św. Jadwigi .

Andrzej Chomiczewski
fot. Paulina Bajowska

Złotoryjanie w malarstwie Jana Matejki

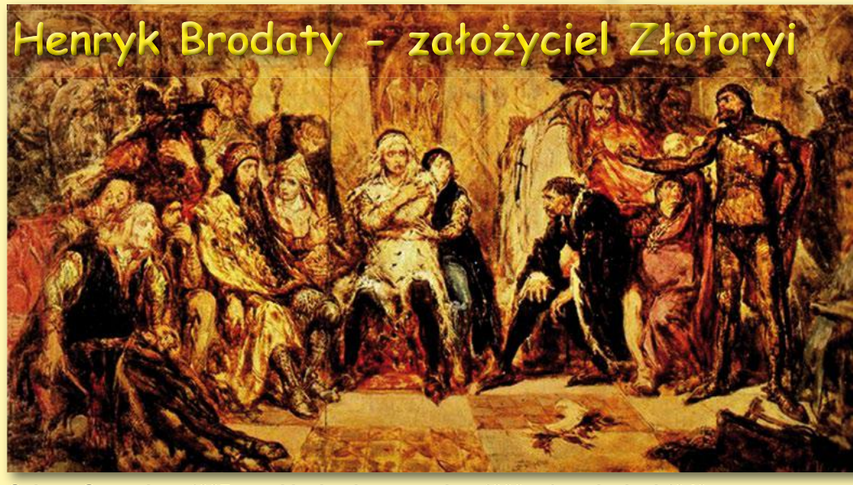

Sejm w Gąsowie w 1227 r., szkic do obrazu, mal. w 1866 r. (oryginał od 1946 r. w Muzeum Narodowym we Wrocławiu). Po środku siedzi książę Leszek Biały z synem Bolesławem Wstydliwym, po lewej od niego siedzą: arcybiskup gnieźnieński Wincenty, książę Henryk Brodaty oraz książę Władysław Laskonogi.

Zainteresowania i fascynacje Jana Matejki Piastami śląskimi znalazły swój wyraz w namalowanych przez niego wizerunkach księcia Henryka Brodatego (ok. 1165-1238). Książę był synem Bolesława Wysokiego, mężem św. Jadwigi oraz ojcem Henryka Pobożnego. Wspierał rozwój górnictwa złota oraz prowadził kolonizację na prawie niemieckim, która doprowadziła w 1211 r. do nadania praw miejskich Złotoryi.

Książę Konrad Mazowiecki i książę Henryk Brodaty (od prawej), rys. ołówkiem ok. 1868 r. na podstawie dawnych pieczęci (repr.: Tygodnik Ilustrowany, 1868, T. 2, nr. 32, s. 64).

Henryk Brodaty z serii „Poczet królów i książąt polskich”, rys. ołówkiem w l. 1890-1892 (repr.: Poczet królów polskich..., rys. J. Matejki, tekstem objaśniającym zaopatrzył S. Smolka, Wiedeń 1893)

Zasługi księcia były wielokrotnie upamiętniane w Złotoryi. W 1972 r. nadano imię Henryka Brodatego ulicy a w 2007 r. książę został patronem Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi. Ponadto o działalności księcia przypominają nazwy Os. Kopacz, ul. Kopaczy, ul. Gwarków, ul. Złota oraz ul. 800-lecia.

Opracował: Damian Komada

W stulecie wybuchu I wojny światowej

W przyszłym roku przypada stuletnia rocznica wybuchu pierwszej wojny światowej. Dotknęła ona także ziemi złotoryjskiej. Po dziś dzień spotykamy się z zabytkami z tamtych czasów, w zbiorach kolekcjonerów znajduje się np. kilkaset pocztówek wysyłanych przez żołnierzy tutejszego garnizonu, m.in. przez rodaków z Wielkopolski.

Przyszłoroczne plany TMZZ przewidują m.in. wystawę o naszym mieście i jego okolicach w tamtych czasach, wycieczki oraz konferencję.

Prosimy o kontakt tych Czytelników, którzy posiadają pamiątki z czasów I wojny światowej, dotyczące np. udziału w niej pradziadków lub dziadków, zamieszkujących tereny różnych zaborów. A może nasi przodkowie trafili do Legionów Józefa Piłsudskiego lub armii Hallera? Liczymy na pomoc nauczycieli historii ze wszystkich szkół powiatu. Zainteresowanych tematem skupia Klub Kolekcjonera – spotyka się w każdą środę o 18.00 w TMZZ. Prosimy również o kontakt z Romanem Gorzkowskim.

Redakcja

Mieczysław Nowak i Fontanna Delfina

Siedemnastowieczna Fontanna Delfina zrosła się z pejzażem Złotoryi prawie tak samo jak kościół Mariacki i Baszta Kowalska. Autorzy przewodników i folderów wyjaśniają, że delfin był symbolem pobożności i mądrości, a takimi właśnie cechami prezentował się burmistrz Jan (Johannes) Feige, który w 1604 r. postanowił ją ufundować. Na szczycie fontanny umieścił inskrypcję: SE FIGENS IN IOVA, która w dosłownym tłumaczeniu brzmi *Opierający się na Bogu*, będąc jednocześnie anagramem imienia i nazwiska fundatora (Ioannes Feigivs). Renowacja w 2008 r. nie tylko sprawiła, że fontanna znów tryska wodą, lecz udowodniła, że niegdyś z gruntu wystawał co najmniej jeszcze jeden stopień. Burmistrz Feige znany jest również z fundacji empory mieszczańskiej w kościele Mariackim w 1609 r., gdy całe miasto przeżywało jeszcze tragiczną powódź poprzedniego roku.

Od dawna złotoryjanie wiedzą także, że fontannę szczęśliwie omijały wszystkie kolejne kataklizmy, a tragedia spotkała ją dopiero po ostatniej wojnie. Stojący w centrum Rynku zabytek upatrzyli sobie mianowicie żołnierze sowieccy, którzy – strzelając dla zabawy – zniszczyli większość delfinich łbów. Jak widać na starych pocztówkach, były one misternie wyrzeźbione i miały kształt zbliżony do rzeczywistego z wywiniętymi na zewnątrz górnymi wargami. Kilkadziesiąt lat temu, gdy powstawał tekst pierwszego po wojnie przewodnika po mieście (wyd. 1992), dowiedzieliśmy się, że łby zostały odtworzone dopiero w latach sześćdziesiątych XX w. Nasz informator przypominał nawet sobie, że ówcześni konserwatorzy zabytków bezskutecznie szukali starych widoków fontanny, a złotoryjanie nie mogli udzielić im istotnych informacji. W rezultacie nowe łby otrzymały zupełnie inny kształt. Lata sześćdziesiąte pojawiły się oczywiście w przewodniku i pokutowały aż do 2007 r. w artykułach prasowych.

Mieczysław Nowak jako górnik.

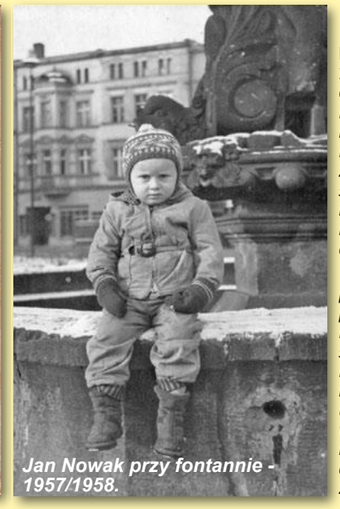
Jan Nowak przy fontannie - 1957/1958.

Historia niesie jednak szczęśliwe przypadki (jeśli w ogóle cokolwiek jest przypadkowe). Okazało się raz jeszcze, że wcześniej czy później można dotrzeć do prawdy i sprostować krążące wcześniej informacje.

Podczas pracy nad drugim wydaniem przewodnika po mieście i okolicach (wyd. 2006), „zupełnie przypadkowo" podczas jednego ze spotkań w TMZZ, rozmowa dwóch jego członków, Jana Nowaka oraz niżej podpisanego, zeszła na temat zabytków miasta. Jan Nowak wspomniał wówczas, że właśnie jego ojciec, Mieczysław, odtwarzał delfinie łby w połowie ubiegłego stulecia. Niejako wstępnie, nie poznawszy jeszcze szczegółów, we wspomnianej edycji przewodnika pojawiły się już daty 1957-1958 jako czas rekonstrukcji tych fragmentów fontanny.

Przełomowa była wizyta u Mieczysława Nowaka w jego lubińskim mieszkaniu w lipcu 2009 r. Najlepiej zacytować jego wspomnienia: *Byłem wówczas pracownikiem zakładów górniczych w Nowym Kościele. Pamiętam, że jeszcze w 1954 r., podczas spaceru z żoną obok fontanny, zauważyłem, że wewnątrz basenu leżały oryginalne części głów delfinów.*

Wykonanie nowych rzeźb polecił kopalni najprawdopodobniej złotoryjski komitet PZPR (fontanna znajdowała się przed jego budynkiem). Kierownik wydziału zlecił z kolei mi ich wykonanie, jako uzdolnionemu plastycznie – w wydziale elektrycznym, gdzie byłem sztygarem, nie pracowała inna osoba o takich zdolnościach.

Stodoła gospodarstwa Greniuków

Prośba o wykonanie rzeźb miała miejsce w 1955 r., w 1956 nastąpił początek prac, w latach 1956-1957 same prace, a w 1958 r. montaż. Od początku chodziło o wykonanie wszystkich czterech głów delfinów. Wynagrodzenie za ich wykonanie ustalono na 10 tys. zł.

Najpierw został znaleziony odpowiedni wąski kamień – pochodził z obramowania pomnika z Jerzmanic Zdroju. Warsztatem była stodoła obok budynku, gdzie wówczas mieszkałem – przy ul. Henryka Pobożnego w Złotoryi. Na wzór miałem dwie stare głowy, ale wszystkie były bardzo poobtłukiwane, prawdopodobnie po ich strąceniu jeszcze niszczyły je dzieci. Pytałem o stare zdjęcia, ale bez rezultatu. Pracowałem sam. Wykonanie dwóch głów zajęło mi co najmniej cztery miesiące pracy, kierownik z zakładu nawet popędzał. Ostatecznie wygląd nowych głów był inny z powodu wymiarów surowca. W montażu pomagał mi jeden pracownik z zakładu – umieściliśmy głowy od strony księgarni i sąsiednią od strony kościoła. Zostały ciasno włożone.

Po wyrzeźbieniu dwóch głów zostałem powołany na 3-miesięczne ćwiczenia wojskowe i dlatego nie wykonałem wszystkich czterech rzeźb. Dwie pozostałe zrobiła firma z Wrocławia, ale były identyczne.

Fontanna w 1966 r.

W 1958 r. Mieczysław Nowak miał 29 lat. W ten sposób powojenne losy Fontanny Delfina związały się z jego osobą. Jednak nie przypominał on sobie żadnego oficjalnego otwarcia odrestaurowanej fontanny, żadnego artykułu w prasie ani żadnej rozmowy w miejscowych urzędach z tej okazji. A szkoda.

Warto zwrócić uwagę jeszcze na inne informacje z jego wspomnień. Artystyczne talenty Mieczysława Nowaka potwierdzają także inne jego dzieła. Na załączonych fotografiach możemy zobaczyć np. jego rzeźby na grobie rodziny jego żony. Również i w tym wypadku warsztatem była stodoła gospodarstwa, w którym zamieszkiwał. W relacji pojawia się jego adres – ul. Henryka Pobożnego. Musimy pamiętać, że tak właśnie nazywała się w latach 50. XX w. dzisiejsza ul. Wojska Polskiego. Dokładniej rzecz ujmując, chodzi o zabudowania, które po wojnie objęła rodzina Greniuków, z której pochodziła żona Mieczysława. Znajdowały się po prawej stronie ul. Wojska Polskiego (idąc pod górę) tuż za wejściem na działki. Złotoryjanie często posługiwali się określeniem „na Greniuka", niektórzy z nas do dziś pamiętają zjazdy na sankach od sklepu zwanego „telewizorkiem" aż na tyły właśnie gospodarstwa Greniuków.

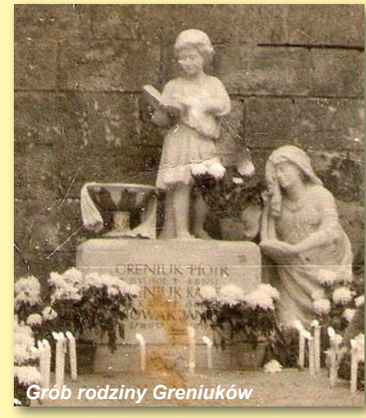
Grób rodziny Greniuków

Jakie mogą wypływać wnioski z opisanej historii? Nie tylko chodzi o same fakty, uzupełniające dzieje jednego z zabytków, czy fragmentu miasta. Nasuwa się przy tej okazji apel do złotoryjan, by dzielili się swoimi wspomnieniami, pieczołowicie przechowywali związane z nimi pamiątki, opisywali fotografie z rodzinnych albumów. Na informacje oczekuje TMZZ, jego biblioteka i archiwum, a także oczywiście autorzy „Echa", by przybliżyć je czytelnikom.

Mieczysław Nowak i Roman Gorzkowski - 2009 rok

Jan Nowak
Roman Gorzkowski

Warto przeczytać
Grodziec uzupełniony

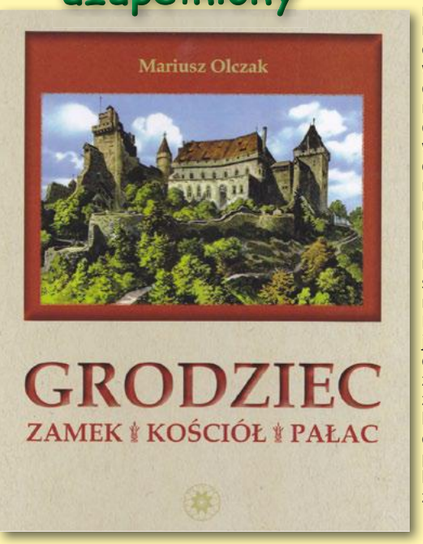

Kolejne, piąte już wydanie książki Mariusza Olczaka, jest dowodem na to, że wciąż można odnaleźć w przepastnych archiwach niezmiernie ciekawe fakty, dotyczące ziemi złotoryjskiej. W bieżącym roku mija dwusetna rocznica najważniejszych bitew epoki napoleońskiej na tym właśnie obszarze, nic więc dziwnego, że autor, znany m.in. z monumentalnego dzieła o kampanii na Śląsku w 1813 r., wzbogacił polecaną publikację o aneks z nieznanymi dotąd tekstami na ten właśnie temat. Jednocześnie znajdujemy zapowiedź kolejnych nowych materiałów o zamku, kościele i pałacu w Grodźcu w następnym wydaniu książki. Nie czekając na nie, warto już teraz skontaktować się z oficyną wydawniczą FINNA z Gdańska lub kasztelanem zamku i zaopatrzyć się w kompendium wiadomości o Grodźcu. Jest to zarazem przewodnik po jego zabytkach, który sprawia, że nie zwiedzamy ich po omacku.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki
Archiwalne widoki

Podziwiając złotoryjskie pocztówki i wczytując się w nazwy kawiarni, gospód i hotelików nasuwa się pytanie: ile było miejsc, gdzie spotykali się przed wojną złotoryjanie. Tylko w swoim zbiorze naliczyłem ponad dwadzieścia. Przedstawiona widokówka obrazuje nam jedno z nich – Gospodę Pod Niebieską Gwiazdą. Lokalizacja tego miejsca nie jest trudna i czytelnicy na pewno ją odgadną. Ciekawe, czy dzisiejsi mieszkańcy zdają sobie sprawę, co się znajdowało w ich budynku na początku ubiegłego stulecia?

Na pocztówce prawdopodobnie widnieje właściciel gospody, Heinrich Mausel wraz z całą rodziną. Ciekawostką jest, że po prawej stronie ujęto fragment nieistniejącego już budynku, a w głębi widać kamienicę, która została zburzona przed budową targowiska miejskiego. Nie mamy wątpliwości, że stare widokówki dają nam wiele informacji na temat nieistniejących miejsc. I o tym z pewnością będzie mowa następnym razem.

Piotr Klimaszewski

Historia jednej fotografii

Gdzieś w dolinie Kaczawy spotkać można pozostałości po budynkach, które niegdyś wiele znaczyły w gospodarczym życiu miasta i jego okolic. Masywny obiekt był dziełem znanej tutejszej firmy budowlanej rodziny Urbanów. Fotografia przedstawia czasy, gdy tętnił życiem. Zapytajmy jednak czytelników, gdzie znajduje się ta budowla, jaką spełniała rolę oraz kiedy była czynna. Obok odpowiedzi chętnie zamieścimy jej dzisiejsze zdjęcie.

Roman Gorzkowski

Tajemnicza budowla

Zarząd TMZZ uprzejmie przypomina, że zgodnie z zapisem w Statucie pięcioletnia zaległość w opłacie składki członkowskiej skutkuje skreśleniem z listy członków.

Nie chcemy się jednak z Państwem rozstawać, a wręcz przeciwnie; zachęcamy do aktywnego współdziałania i wspierania naszego stowarzyszenia.

Dlatego zapraszamy do uregulowania zaległości na konto bankowe:
PBS 39 8658 0009 0000 0156 2000 0010 lub osobiście w każdy czwartek w godz. 15.00 -17.00 w siedzibie TMZZ.

W trakcie wizyty w Ośrodku Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej mogą Państwo naocznie stwierdzić jak szeroki jest wachlarz dokonań Towarzystwa i w bezpośredniej rozmowie przedstawić propozycje dotyczące przyszłych działań.

Prezes Zarządu TMZZ
Aleksander Pecyna

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. KSSSA ZŁOTORYJA

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne BAZALT "Bazalt" SA w Wilkowie

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi

POAR Złotoryja

GALERIA SPONSORÓW

VITBIS
szklane bombki choinkowe

Miejsce dla sponsora

KOSD WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe Surowców Drogowych Sp. z o.o. w Wilkowie

grysy bazaltowe
STONESPOL
▪ płukane
▪ kolorowe
▪ posypki
▪ mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ TMZZ

ECHO ZŁOTORYI

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 (Dom Nauczyciela „Bacalarus"),
tel. 76 8788137, Internet: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Anna Chrzanowska (sekretarz redakcji), Roman Gorzkowski, Damian Komada, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (redaktor naczelny), Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Joanna Sosa-Misiak, Tomasz Szymaniak, Krystyna Zalewska, Jolanta Zarębska (korekta).
Zdjęcie na okładce: Robert Pawłowski - Kopalnia bazaltu Wilcza Góra